
UNIVERSITY OF TORONTO
3 1761 01686820 0

Konstytucya Trzeciego Maja

Konstytucya Trzeciego Maja

Reformy społeczne i polityczne ustawy rządowej z r. 1791

Napisał

Oswald Balzer

Wydanie trzecie



Nakładem Gebethnera i Wolffa
Warszawa — Lublin — Łódź — Poznań
Kraków — G. Gebethner i Spółka



Kraków. — Druk W. L. Anczyca i Spółki.

Jest w dziejach Polski wypadków wielkich poczet niemały: czy to owa wielka praca organizacyjna, dokonana przez Chrobrego, która na długie czasy tchnęła w młody organizm Polski siłę życia i siłę rozwoju, czy dzieło zjednoczenia, przeprowadzone przez Łokietka, które rozbite dzielnice Polski sprzęgło w jedną całość, czy owa praca gospodarcza i cywilizacyjna wielkiego Kazimierza, która Polskę podniosła do znaczenia potęgi, czy dzieło Unii Jagiełłowej, Litwy i Rusi z Polską, która cywilizacyi zachodniej szerokie na wschód rozwarła wrota, czy ów pogrom nawały germańskiej, na polach Grunwaldu poczęty, toruńskim traktatem dokonany, czy zwycięstwa moskiewskie Batorego, czy wreszcie pamiętna wiktorya wiedeńska Sobieskiego. Ale już to w zestawieniu tych najjaśniejszych kart historyi naszej uderza, że ich najwięcej przypada na czasy dawniejsze, że od końca wieku XVI niema żadnej tak świetlnej jak tamte, bo i zwycięstwo wiedeńskie, to raczej błysk wojennego geniuszu wodza i zamierającego już rycerskiego ducha szlachty, aniżeli korzyść narodu, istotna i w skutkach trwała, taka, jaką każdy wielki fakt historyczny przynosi ze sobą. W tym więc długim okresie dwu przeszło wieków,

Niniejsza praca, pomijając drobne zmiany stylistyczne, jest dosłownym przedrukiem wydania I z r. 1891; o ile niektóre z zawartych tu poglądów, zwłaszcza w części wstępnej, wymagają pewnych uzupełnień czy też stosownych zmian, por. nowsze prace autora: *Z zagadnień ustrojowych Polski,* dwie części.

w którym wypadków wielkich prawie niema, pięknych wcale niewiele, a smutnych i — czasem wstrętnych, nadto, Konstytucya Trzeciego Maja, okres ten zamykająca, jest jakoby anomalią, czemś jak gdyby niespodzianem, zjawiskiem olbrzymiem po całym szeregu karłowatych widoków.

Takie wrażenie sprawia ona już przez samo swoje zjawienie się. Jakież da nam bliższy jej rozbiór i ocena? Zobaczmy.

W dalekie czasy, głęboko wstecz w wieki średnie sięgając, dostrzegamy w Polsce zjawisko, tak pospolite w urządzeniach państw ówczesnych, że je tylko przypomnieć potrzeba: że jeden ze stanów, rycerstwo-szlachta, używa szerszych przywilejów, aniżeli inne stany w państwie. Ogół tych przywilejów i uprawnień, mieszczących się w ogólnem pojęciu t. z. prawa rycerskiego (ius militare), obejmuje między innemi prawo do poboru wyższej główszczyzny i nawiązki, wolność od świadczeń podatkowych, a w zamian za to obowiązek służby rycerskiej, odrębną organizacyę władz, autonomiczną, ziemską, tudzież, co w ślad za tem idzie, dostęp do urzędów ziemskich, i co niekoniecznie już z tego wynikało, dostęp do urzędów państwowych, zastrzeżony dla szlachty. Jako stan najprzedniejszy i uprzywilejowany, sprawami ogólnemi państwa najbardziej interesowany, bierze rycerstwo, co prawda nie całe, tylko przez najwybitniejszych swoich członków, możnowładztwo, baronów, przeważny udział w ich kierownictwie, bądź to jako ciało zbiorowe, rada królewska, z najwyższych dostojników złożone, bądź też z osobna, każdy wysoki dostojnik państwowy, przez wpływ i władzę, jakie mu nadaje piastowany przezeń urząd. Mimo to wszystko szlachta nie stanowi wyłącznie uprawnionego w średniowiecznem państwie polskiem elementu; są obok niej inne stany, nie tyle uprzywilejowane co ona, a jednak znajdujące w ówczesnej organiza-

cyi społecznej i politycznej warunki zdrowego, potrzebom swoim odpowiadającego rozwoju.

Jest takim stanem przedewszystkiem mieszczaństwo. Osiedlone w miastach, na niemieckiem prawie lokowanych, ma ono organizacyę autonomiczną miejską, taką samą w założeniu, jaką była organizacya autonomiczna ziemska dla szlachty; więc naprzód jest osobna rada miejska, z wolnych wyborów mieszczan wychodząca, od nikogo niezawisła i nikomu niepodległa, sprawująca rząd wewnętrzny miasta w najobszerniejszem tego słowa znaczeniu; jest dalej osobna ława miejska, z wójta i ławników, również przez mieszczan wybieralnych złożona, niemniej nikomu niepodległa; jest dalej organizacya cechowa, dająca pomyślny rozwój przemysłowi miejskiemu; jest szereg urządzeń, zapewniających miastom swobodny ruch handlowy; jest wreszcie uznane prawo miast do współudziału w ważniejszych sprawach państwowych: mają one zapewniony udział w rządzie tymczasowym w czasie bezkrólewia, wysyłają delegatów do zawierania traktatów międzynarodowych, biorą udział w elekcyach królów, a nawet w zjazdach publicznych, obradujących nad wewnętrznemi sprawami państwa. Są zatem dane warunki ekonomicznego rozwoju i dobrobytu miast, jest zabezpieczona szeroko autonomia w zarządzie ich wewnętrznym, jest samoistne, niczem z zewnątrz niekrępowane sądownictwo, jest wreszcie przyznany poważny głos w sprawach ogólno-państwowej doniosłości. Są też wieki średnie epoką prawdziwego rozkwitu miast polskich; mieszczaństwo bogate a przedsiębiorcze, dobija się wpływowego stanowiska; zapominając o swem pochodzeniu niemieckiem, zaczyna się polszczyć i przesiąkać duchem obywatelskim, przedstawia jednem słowem element silny, materyalnie i moralnie zdrowy, który dla przyszłej, nowożytnej budowy państwa mógł być z wielką korzyścią zużytkowany.

Nie jest w takim samym stosunku, ani też w tym samym zakresie uprawnioną warstwa najniższa, stan włościański czyli kmiecy, stan, który wszędzie w Europie czekać

musiał XIX stulecia, zanim prawa jego obywatelskie w pełni uznane zostały. Ale położenie jego ekonomiczne i prawne jest przecież wcale znośne i w porównaniu ze stosunkami zagranicznymi niewątpliwie pomyślniejsze. Wiek XIII i XIV przyniosły z sobą kolonizacyę na prawie niemieckiem, która objęła nie tylko miasta, ale i wsie, a ta kolonizacya przyniosła ważne korzyści dla stanu włościańskiego. Osadzony na kawałku gruntu wieśniak stawał się wieczystym czynszownikiem; obowiązany był, po upływie kilkunastu lat wolnizny, do opłaty pewnego stałego, niezbyt zresztą wysokiego czynszu na rzecz pana, w zamian za to, skoro tylko obowiązkowi swemu pod tym względem uczynił zadość, nie mógł być przez niego wbrew swej woli z gruntu rugowany. Miał więc możność, pracując na swój własny rachunek, a zwiększając intensywność pracy gospodarczej, dorobić się względnego dostatku, zapewnić byt dla siebie i dla swej rodziny. Grunt opuścić i przenieść się gdzieindziej miał prawo, byleby w miejsce swoje podstawił innego, zdolnego do uprawy gruntu kmiecia. Rodziny chłopskie bardziej rozrodzone, złożone prócz ojca z kilku synów dorosłych, miały w ten sposób zapewnioną możność korzystnego zaopatrzenia swego losu; synowie mogli opuszczać grunty ojcowskie, na których pozostawał dalej ojciec, i szukać sami dla siebie, każdy z osobna, nowych gruntów pod uprawę, które z łatwością znachodzili wobec wielkiej masy ziemi, czekającej uprawy, a małej stosunkowo ilości sił roboczych po temu. A nawet i w tym wypadku, jeżeli kmieć, zamierzający opuścić grunt, nie mógł podstawić innego w miejsce swoje, nie była mu przecież bezwzględnie odciętą możność wychodu, choć, przyznać trzeba, była już rozmaitymi warunkami utrudnioną. Najważniejszem ograniczeniem było to, że takich kmieci, według wyraźnego przepisu statutów Kazimierzowskich, nie mogło wyjść do roku więcej nad dwu — gdyż inaczej panowie mogliby być narażeni na wyludnienie swych wsi; a następnie i to, że wychód taki nastąpić mógł tylko

w pewnej oznaczonej porze roku, zwykle około Bożego Narodzenia. Cokolwiekbądź, widoczna, że ten stosunek chłopa do ziemi nie ma bynajmniej charakteru przypisania do gleby, że owszem wolność przesiedlenia się jest w dość szerokim zakresie uznana, a ograniczenia, jakie w tym kierunku zachodzą, podyktowane są tylko względem na słuszny i sprawiedliwy interes pana. Pod innymi względami wolność osobista kmiecia nie jest już niczem ograniczona; prawa jego osoby i jego majątku stoją pod ochroną publiczną; za każde naruszenie praw tych kmieć może pozwać krzywdzącego, choćby nim nawet był własny jego pan, przed sąd publiczny, ziemski lub grodzki, i uzyskać przeciwko niemu wyrok pomyślny. W sporach pomiędzy sobą mieli znowu kmiecie własny swój sąd ławniczy we wsi, złożony z wybieranych przez nich ławników pod przewodnictwem sołtysa; ten sołtys zaś nie był bynajmniej zależnym od pana, gdyż sołtystwo swe dzierżył nie z mocy dowolnej jego instytucyi, ale na podstawie zakupna, dokonanego przez siebie lub przez przodka swojego; sołtystwo to było prawem majątkowem, które pan uznać musiał, i które sołtysowi nadawało niezawisłe wobec pana stanowisko. Był tedy sołtys wobec pana reprezentantem interesów kmiecych; a sądownictwo ławnicze po wsiach wykonywane, na zasadzie autonomicznej zorganizowane, z elementów kmiecych złożone, dawało gwarancyę przeciw nadużyciom, dostarczało pewności dobrego, w granicach prawa poruszającego się wymiaru sprawiedliwości.

Oto w najogólniejszym zarysie obraz społecznego ustroju, jaki się wytworzył w Polsce w drugiej połowie wieków średnich. Zasada równouprawnienia wszystkich wobec prawa była mu oczywiście obcą, jak zresztą nie istniała i gdzieindziej w Europie: w hierarchii społecznej jeden stan prześcigał drugi, a trzeci nie dorównywał drugiemu; najwyżej przywilejami swoimi wznosiła się szlachta, szło po niej mieszczaństwo, które obszerniejszych używało praw aniżeli

chłopi. Ale jest w tej organizacyi przecież przeprowadzona dość wyraźnie zasada równowagi, w tem pojęta znaczeniu, że każdy stan ma zapewnioną potrzebną dla siebie samoistność, że prowadzi sam przez się i przez władze z własnych wychodzące wyborów, zarząd spraw wewnętrznych, że inne stany nie mają do tych spraw żadnej ingerencyi, że każdy ma zapewnioną potrzebną ochronę prawa i dane przez szereg odpowiednich instytucyj prawnych warunki, które w zakresie potrzeb każdego z nich zapewniają mu realizacyę istotnych jego interesów materyalnych i moralnych. Jest stworzony grunt, na którym stany te swobodnie żyć i rozwijać się mogą, jeden obok drugiego, każdy z korzyścią dla siebie, a bez uszczerbku dla drugich.

Pod koniec wieków średnich, w wieku XV, ten piękny a misterny gmach organizacyi społecznej zaczyna się rysować i słaniać. Zaczynają się chwiać podstawy, na których oparła się owa równowaga stanów, tyle w skutkach swoich pożyteczna i doniosła. Impuls do zmiany wychodzi od szlachty, a zmierza do stanowczego ograniczenia lub zniesienia dotychczasowych praw innych stanów; motyw zaś po temu leży głównie i przedewszystkiem w zmianie dotychczasowego systemu gospodarczego, w nowem dążeniu ekonomicznem, które się zbudziło u szlachty.

Trzeba wiedzieć i pamiętać o tem, że siła majątkowa posiadłości ziemskiej w wiekach średnich wyrażała się głównie w sumie czynszów, uiszczanych panu przez kmieci. Pewna ilość, zwykle kilkadziesiąt łanów wiejskich, osiedlonych przez tyluż lub więcej samoistnych gospodarzy, którzy z każdego łanu lub półłanu czynsz ten w stałym terminie panu opłacali, dawało wcale znaczny jak na stosunki ówczesne dochód. Gospodarstwo rolne przez samych panów na własną rękę i na własny rachunek prowadzone, t. zw. gospodarstwo folwarczne, było tylko podrzędnem źródłem dochodu dla dziedzica. Zajęty rzemiosłem rycerskiem, ograniczał się on do dochodów z czynszów, gospodarstwa folwar-

cznego nie prowadził albo wcale, albo na bardzo tylko nieznaczną skalę, zwykle o tyle, ażeby zaspokoić potrzebę w płodach ziemi na wyżywienie własne, swojej rodziny i nielicznej zresztą czeladzi. Stąd też przy aktach przeniesienia własności na nieruchomościach podstawą oznaczenia ceny jest nie tyle wartość gospodarstwa folwarcznego, ile raczej suma czynszów uiszczanych przez kmieci; stąd przy zastawach zdolność nieruchomości do amortyzacyi długu liczy się również według wysokości czynszów. Stąd też tłómaczy się, dla czego kmieciowi wolno było opuścić grunt, jeżeli tylko podstawił innego w swoje miejsce, dla czego synom chłopa wolno było za życia ojca porzucić chatę ojcowską i szukać gdzieindziej chleba; w jednym i drugim razie zostawał na tym gruncie ktoś, kto go dalej uprawiał i płacił czynsze, zaczem też pan żadnej stąd nie ponosił szkody. Nie chodziło tu o ilość ludności wiejskiej; chodziło tylko o to, aby każdy pod uprawę przeznaczony kawał gruntu przynosił należny czynsz.

W tym stanie rzeczy nastąpiła w ciągu wieku XV ważna przemiana. Po raz pierwszy na szerszy rozmiar, na żyznej i urodzajnej glebie Rusi Czerwonej, przekonała się kolonizująca tę prowincyę szlachta polska o ważności i użyteczności produkcyi zbożowej na większą skalę, takiej, którąby nie zmierzała już wyłącznie do zaspokojenia jej osobistych potrzeb, ale zarazem także do wytworzenia większych zapasów, przeznaczonych do obrotu zamiennego. Kiedy zaś pokój toruński z r. 1466 przez przyłączenie Prus Królewskich oddał w ręce Polski oba ujścia Wisły i dał jej przez to bezpośrednie połączenie handlowe z Bałtykiem, otworzyła się dla handlu zbożowego nowa droga zbytu, najdogodniejsza, jaką sobie można było pomyśleć, bo dająca bezpośrednią komunikacyę z Zachodem, który nie mogąc podołać własnej konsumcyi, szukał zboża polskiego i dobrze za nie płacił. Otwierały się dla gospodarstwa rolnego w Polsce nowe, świetne widoki, ale urzeczywistnienie ich wymagało w do-

tychczasowym jego systemie zasadniczej zmiany. Trzeba było gospodarstwo folwarczne rozszerzyć, trzeba było produkować jak najwięcej zboża na własny rachunek, ażeby jak największą jego ilość przeznaczyć na intratny eksport. Potrzebę tę odczuła i zrozumiała szlachta dobrze; rzuca się ona gromadnie do powiększenia produkcyi rolnej: kommasuje w ręku swojem w miarę możności grunty; o wartości wsi nie stanowi już, jak dawniej, ilość opłacanych przez kmieci czynszów, ale raczej ilość skupionych w ręku pana gruntów, zdolnych do produkcyi zboża. To rozszerzenie gospodarstwa folwarcznego pociągnęło za sobą ważne następstwa w sferze stosunków kmiecych. Grunty, zjednoczone w ręku pana, potrzebowały rąk do uprawy, zadanie, któremu teraz nie mogła już podołać nieliczna czeladź, dawniej potrzebom tym wystarczająca, a dla którego z drugiej strony nie można było znaleść odpowiedniej ilości najemnika, wobec niedostatecznej, w stosunku do ziemi, populacyi ówczesnej. Nie pozostawało nic innego, jak tylko przymusić kmieci mieszkających po wsiach do obowiązkowej uprawy gruntów folwarcznych. W ten sposób zrodziła się pańszczyzna w Polsce. Wprawdzie czasami już dawniej, w XIII i XIV wieku, w niektórych przywilejach lokacyjnych, zastrzegali sobie panowie wykonywanie lekkiej pańszczyzny przez kmieci; ale zastrzeżenia te są wyjątkowe, nie stanowią zasady, ani jej stanowić nie mogły wobec podrzędnego znaczenia, jakie podówczas odgrywało gospodarstwo folwarczne. Dopiero ze zmianą, o której wspomnieliśmy, w ciągu wieku XV, upowszechnia się system pańszczyźniany, z początku oczywiście w formie łagodniejszej, ażeby potem przybierać coraz ostrzejszy charakter. Dotykają już kwestyi pańszczyźnianej niektóre ustawy partykularne z XV wieku; wreszcie statuty: toruński i bydgoski, oba z roku 1520, ogólnie stanowią, że chłop z każdego łanu obowiązany jest odbyć conajmniej jeden dzień pańszczyzny w tygodniu, gdzie zaś wytworzył się zwyczaj dalej pod tym względem idący, a więc dwa lub więcej dni

pańszczyzny, tam zwyczaj ten i nadal ma być przestrzegany. Powstała w ten sposób zasada przymusowej i bezpłatnej robocizny dla pana. W pierwszej linii była ona stratą materyalną dla kmiecia, odrywając go częściowo od pracy na własnej roli, ale bardziej jeszcze doniosłe znaczenie miała ona pod względem prawnym, stanowiąc pierwszy ważny wyłom w tej względnej wolności osobistej, jakiej używał dotychczas.

W ślad za nim poszły i inne, a można o nich wszystkich powiedzieć, że stoją w ścisłym związku z tą przemianą gospodarczą, na którą wskazaliśmy. Skoro już raz postanowiono zasadę pańszczyźnianą, musiano też całkiem konsekwentnie powiedzieć sobie, że w interesie pana leży, ażeby ludność wiejska wzrastała w ilość, i żeby w miarę możności usunąć wszystko, coby tę ilość umniejszyć mogło. Skoro trzeba było pańszczyzną obrabiać grunty pańskie, oczywiście tem korzystniej było dla pana, im więcej było we wsi ludzi, im więcej było rąk do pracy. Stąd dążność pośród szlachty, uwieńczona pomyślnymi wynikami na sejmach z końca XV i początków XVI wieku, ażeby prawo wychodu kmieci jak najbardziej ograniczyć, a choćby nawet zredukować do zera. Nie tajono się wcale z motywami tej dążności, przyznawano się do nich wyraźnie w aktach ustawodawczych, podnosząc, że »szlachta nie może powiększyć swego majątku inaczej jak tylko przez pracę kmieci«, albo żę »szlachta z braku pracujących kmieci nie znajduje zaspokojenia swoich potrzeb«. Pod tem hasłem wychodzi statut z r. 1496, stanowiący, że rocznie nie więcej jak jeden kmieć samoistny może się ruszyć ze wsi, statut ograniczający pod względem liczebnym analogiczne postanowienie Kazimierza Wielkiego o dwu kmieciach; na tymże samym sejmie staje i druga uchwała, wprowadzająca rzecz całkiem nową, że nawet synowie chłopscy nie mogą opuścić gruntu z wyjątkiem jednego w każdej rodzinie, i to tylko wtedy, jeżeli to nie jest jedynak; wreszcie całą tę akcyę zamyka ustawa z roku 1532,

która ogólnie stanowi, że żadnemu chłopu nie wolno się ruszyć ze wsi bez zezwolenia pana. Szereg statutów o zbiegłych kmieciach, z nakazami chwytania ich i odstawiania do panów, miał tylko charakter przepisów wykonawczych do ustaw poprzednich. Upadła zatem do szczętu średniowieczna swoboda kmiecia; chłop został przypisany, przywiązany do gleby węzłem tak ścisłym i trwałym, że nic go już od niej oddzielić nie zdołało — chyba łaska pańska; ale ta nie często się objawiała.

W ten sposób załatwiła się jedna strona kwestyi chłopskiej. Była jeszcze druga niezałatwiona. Musiał chłop pracować dla pana, i dla tego obowiązku nie wolno mu było ruszać się z gruntu; ale miał jeszcze swoje autonomiczne sądownictwo we wsi i miał prawo upomnieć się o krzywdę, wyrządzoną przez pana, przed sądem publicznym. To było panom nie na rękę, bo dawało chłopom pewną samoistność i niezależność na zewnątrz, przeszkadzało dalszym ich zapędom do coraz większego ograniczenia i wyzysku poddanych. Trzeba było i tę zawadę usunąć z drogi. Rozpoczęła się więc akcya równorzędna i współczesna z akcyą poprzednią, która w tym samym mniej więcej czasie do pożądanego doprowadziła wyniku. Najważniejszym filarem samoistności kmieci w tym kierunku była instytucya sądów sołtysich, z naczelnikiem jej, sołtysem na czele, niezależnym wobec pana, opartym na swym niewzruszalnym tytule prywatno-prawnym dziedzicznego nabycia sołtystwa. Chodziło zatem o złamanie tego stanowiska sołtysów, a kiedy już raz postawiono takie żądanie, okazało się, że i tytuł da się wzruszyć. Zarządzono przymusowy skup sołtystw przez panów. Statut warcki z r. 1423 orzekł, że sołtysi »nieużyteczni lub oporni« mogą być przez pana skupieni lub zmuszeni do sprzedaży sołtystwa komu innemu. Przepis odnosił się do sołtysów nieużytecznych i opornych; ale cóż się pod te wyrazy podciągnąć nie dało! Było to poprostu upoważnienie do skupu jakiegokolwiek sołtystwa. Nie omieszkali też pano-

wie z tego upoważnienia skwapliwie korzystać, zyskując przez to dwie rzeczy: naprzód grunt sołtysi, który do swego gospodarstwa folwarcznego wcielali, a następnie usunięcie samego sołtysa, które w ręce ich oddawało sądownictwo nad poddanymi. Bo pan, który skupił sołtysa, wchodził we wszystkie jego dawniejsze prawa, stawał się sam sołtysem, a zatem wykonywał sądownictwo nad chłopami swojej wsi, tak samo jak sołtys dawniejszy. Niebawem zatraciło się jednak poczucie, że wykonuje je jako sołtys; na zewnątrz uderzał tylko ten fakt, że wykonuje je pan, skąd wyrobiło się przekonanie, że panu jako takiemu przysługuje prawo sądzenia swoich poddanych. Upadło więc samoistne sądownictwo wiejskie, a na miejscu jego wytworzyło się sądownictwo patrymonialne prywatne, wykonywane przez pana jako takiego nad poddanymi. To sądownictwo patrymonialne uznane jest już w naszem ustawodawstwie po części pod koniec wieku XV, a najwyraźniej i ogólnie, jako zasada powszechnie obowiązująca, w konstytucyi z r. 1557. Wprawdzie forma dawniejszego sądownictwa pozostała nadal taka sama jak przedtem; i później jeszcze spotykamy po wsiach sołtysów i ławników, którzy rozsądzają spory kmiece, ale charakter tych sądów jest już zgoła odmienny; są to już tylko funkcyonaryusze, ustanawiani z ramienia samego pana, każdej chwili przezeń odwołalni, we wszystkiem mu podlegli i od niego zależni, zwykle z miejscowych kmieci obierani. Nie jest to więc już sąd autonomiczny wiejski, ale sąd pański, prywatny, mający conajwięcej za cel wyręczyć pana w jego zajęciach sądowniczych, zresztą w każdym względzie od niego zależny, według jego woli i wskazówek wyrokujący, sąd, w którym pan każdej chwili, kiedy chce, wyrok sam wydać może.

A wyrok ten pański jest wyrokiem niewzruszalnym; niema przeciwko niemu środka prawnego, niema instancyi, któraby go roztrząsnąć i zmienić mogła. Wola pańska staje się dla chłopa we wszystkich jego sprawach spornych wyłącznie rozstrzygająca. Jak daleko ta wola sięgać, czem

w procesie rozporządzać może, rozumiało się już samo przez się. Skoro była jedyną i żadnemu nie podlegała rozpoznaniu, to naturalnie nie było dla niej granic; mógł więc pan orzekać nie tylko o majątku, ale i o życiu kmiecia. *Ius vitae ac necis* leżało już w samej istocie jurysdykcyi patrymonialnej, w ten sposób pojętej, i kiedy w konfederacyi generalnej warszawskiej z r. 1573 przyszło do ustawowego sformułowania owego uprawnienia, trafnie powiedziano, że tu się nie wprowadza nic nowego, ale opiera na dawniejszym zwyczaju.

Z zasady sądownictwa patrymonialnego wyprowadziła ówczesna konsekwencya szlachecka inną jeszcze zasadę. Skoro pan był wyłącznym sędzią właściwym dla chłopa, to nieprzystojną było rzeczą, ażeby wobec niego mógł być stroną w procesie. Dawniej, chłop ukrzywdzony przez pana, mógł go pozwać przed sąd publiczny; obecnie możność ta ustaje. Chłop nie ma więc środka usunięcia krzywdy, wyrządzonej sobie przez pana, gdyż pan jest wobec niego i kogokolwiek innego nieodpowiedzialnym. Wolno mu robić co chce, a chłop musi mu się poddać, bo nie ma do kogo udać się o pomoc przeciw niemu. Ta zasada otwierała wrota daleko idącemu uciskowi chłopstwa; jakoż jej głównie zawdzięczyć należy, że z biegiem czasu zwiększyły się daniny chłopskie do bardzo wielkich rozmiarów, że pańszczyzna gdzieniegdzie doszła do 6 dni w tygodniu, że wreszcie panowie stanowią formalne dla swoich poddanych ustawy, jak się mają zachować, w jaki sposób pracować, co świadczyć. Pan kazał — chłop nie miał innego wyboru — jak słuchać. Znośniejszem nieco było chyba położenie poddanych królewskich, którzy przeciwko swoim panom, t. j. starostom i dzierżawcom, użalać się mogli w sądach królewskich, t. z. referendarskich.

Na tem stanowisku stanęła sprawa chłopska już pod koniec wieku XV i w początkach XVI. Czy w wiekach następnych posunęła się dalej? Nie, bo i nie mogła się posunąć. Przywiązano chłopa nierozerwalnymi węzłami do gruntu,

wyjęto go z pod wszelkiej opieki prawa, tak, że nie było dla niego żadnego właściwie prawa, chyba niem nazwiemy wolę pana. Oddano w ręce pana nieograniczoną dyspozycyę osobą, majątkiem, życiem chłopa; — cóż więc było mu można jeszcze oddać? Zyskali panowie wszystko, czego tylko zapragnąć mogli; nic więc nie dało się zdobyć, bo nic nie było już do zdobycia. Na przełomie wieków średnich i nowszych przybrała więc sprawa chłopska jasno określone, skrystalizowane kształty, i w tej formie przetrwała już bez zmiany całe dalsze dwa wieki z górą. Kwitł handel zbożowy Polski w stuleciu XV, XVI i XVII, ale ten sukces ekonomiczny trzeba było okupić niewolą całego, miliony głów liczącego stanu. Nad strasznem zjawiskiem nie wiele bolała szlachta polska. »Szlachcic szczycić się może, iż wiosek i poddanych swych niejako udzielnym jest monarchą«, pisał z lekkiem sercem moralista XVII wieku, Fredro. Był więcej niż monarchą, był — właścicielem.

Po sprawie chłopskiej przyszła kolej na sprawę mieszczańską.

Stan miejski urósł w Polsce w wiekach średnich do wielkiego znaczenia; stał się potęgą, która w dalszem życiu narodu mogła stać się niebezpieczną współzawodniczką dla szlachty. Choć nie tak uprzywilejowane jak szlachta, miały przecież miasta przez szereg odpowiednich instytucyj prawnych zapewniony prawidłowy i bezpieczny rozwój, opiekę i poparcie swoich interesów ekonomicznych. Rozkwit handlu, jaki nastąpił w wiekach średnich, dał nadto miastom to, czego zbywało większości szlachty. Pośród niej, nieliczne tylko rody możnowładcze, zdoławszy skupić w swem ręku większe kompleksy posiadłości ziemskich, doszły do bogactwa i materyalnej potęgi; szlachta drobniejsza, na jednej tylko wiosce albo na pomniejszych działach siedząca, ograniczona w dochodach swych głównie do czynszów kmiecych, ciągłą służbą rycerską od roli odrywana, działami spadkowymi majątkowo wycieńczana, przedstawiała słaby zasób ekonomi-

cznej siły, nie mogła się równać z bogatem, dostatniem mieszczaństwem polskiem. Ta przewaga ekonomiczna mieszczaństwa mogła się stać z czasem zgubną dla szlachty, a zwłaszcza w tej chwili, kiedy dawniejsze gospodarstwo czynszowe po wsiach zaczęto przemieniać w gospodarstwo folwarczne, kiedy otworzyły się widoki rozwinięcia handlu zbożowego na większą skalę. Mieszczaństwo, rozporządzając kapitałem, którego nie miała szlachta, mogło się w wielkiej masie rzucić do zakupna dóbr ziemskich, w dobrach tych urządzić produkcyę rolną na większą skalę, i w ten sposób nowemu dążeniu ekonomicznemu szlachty stworzyć niebezpieczną konkurencyę. Zazdrosna o to szlachta czuła konieczność przecięcia drogi konkurencyi, i oto jako wynik jej usiłowań pojawia się na sejmie r. 1496 zakaz, ponawiany później niejednokrotnie, a zwłaszcza z całą stanowczością r. 1538, zakaz nabywania dóbr ziemskich przez mieszczan, czy to tytułem dziedzicznym, czy zastawnym, czy jakimkolwiek innym, połączony z nakazem wysprzedania dóbr, jakie dotąd mieszczanie posiadali. Ten zakaz utrzymany został przez trzy prawie dalsze wieki istnienia Rzeczypospolitej; wyjątki, jakie dla niektórych najważniejszych miast, jak Krakowa, Lwowa, Wilna i t. p. czyniono, nie miały szerszego znaczenia.

Już w tym zakazie leżało walne dla szlachty zwycięstwo i stanowcza porażka mieszczan. Prócz najbliższego celu, usunięcia konkurencyi mieszczan, uzyskała szlachta jeszcze cel dalszy: ograniczenie sfery działalności ekonomicznej mieszczan, zamknięcie jej w ścisłych granicach handlu miejskiego, upośledzenie mieszczaństwa pod względem prawnym, a wreszcie odgraniczenie obu stanów co do ich zajęć gospodarczych, z których jeden miał już niejako z góry wskazane zajęcie na roli, a drugi handel i przemysł miejski. Było to już tylko prostą konsekwencyą tej polityki, kiedy w r. 1633 orzeczono wyraźnie, że szlachcic, który w mieście łokciem i kwartą mierzy, traci z tego powodu szlachectwo.

Ten zakaz nabywania dóbr ziemskich nie byłby wszakże

jeszcze sam przez się spowodował upadku miast, gdyby się na nim ograniczono. Mogła szlachta na przyszłość uprawiać wyłącznie rolę, a miasta zajmować się samym przemysłem i handlem; jeden i drugi stan w obrębie wyznaczonej sobie sfery mógł jeszcze znaleźć warunki pomyślnego rozwoju. Ale trzeba też było każdemu w sferze tej pozostawić swobodę ruchu, nie ścieśniać go dalszemi ograniczeniami. Stało się inaczej. Nie poprzestano na samem tylko oddzieleniu zakresów, sięgnięto w dziedzinę pozostawioną mieszczaństwu, ścieśniono lub zniesiono swobodę, jaka mu tamże jeszcze pozostała. A trzeba powiedzieć, że stało się to z niskich, małostkowych, egoistycznych pobudek.

Organizacya przemysłu miejskiego opierała się w Polsce średniowiecznej, podobnie jak gdzieindziej współcześnie, na organizacyi cechowej. Przymus cechowy w znaczeniu podwójnem: jako zakaz wykonywania rzemiosł bez przynależności do cechu i zakaz nabywania wyrobów od niecłonków cechu, stwarzał wprawdzie stan rzeczy zgoła odmienny od tego, jaki widzimy dzisiaj, pod rządem wolnej konkurencyi, ale jak na stosunki ówczesne był on rzeczą konieczną, warunkiem istnienia i rozwoju przemysłu. Ograniczając ilość produkcji każdego cechowego z osobna, usuwały wprawdzie cechy możność wielkiego bogacenia się jednostek, ale w zamian za to uchylały także niebezpieczną dla innych współtowarzyszy konkurencyę; czuwały nad tem, ażeby zarobek rozdzielał się mniej więcej jednakowo pomiędzy wszystkich członków cechu, dawały każdemu prawo do pracy. Starając się w ten sposób z jednej strony o dobro rzemieślników, spełniały i drugą jeszcze funkcyę: starały się o dobro konsumentów. Wyznaczały miary i wagi towarom, ażeby zapobiec nadużyciom, a wydając przepisy co do materyału, z którego, i sposobu, w jaki wyroby sporządzać należy, mając gwarancyę, że wyroby ze względu na swą jakość jednakową będą przedstawiały wartość, mogły też z góry wyrobom tym stanowić ceny. Nie była ta rzecz uciążliwą dla

konsumentów miejskich, ale wydała się uciążliwą dla szlachty. Szlachta, zakupując znaczną część wyrobów w miastach, uważała, że miary i wagi są niesprawiedliwe, że ceny są zbyt wygórowane. Czy w istocie tak było? Trudno dziś na to pytanie odpowiedzieć dokładnie, ale chyba przypuścić wolno, że było inaczej; bo cechy, choć miały monopol rzemiosł w mieście, nie miały go po za miastem; niesprawiedliwość miar, wag i cen musiałaby zatem kupujących przerzucić do jakiegoś innego sąsiedniego miasta i wskazywała cechom konieczność zachowania miary w ustanawianiu cen. Chodziło więc szlachcie widocznie o coś innego, o uzyskanie dla siebie najniższych możliwie cen, bez względu na koszta produkcyi wyrobów, choćby nawet poniżej tych kosztów. A że cechy tego uczynić nie chciały i nie mogły, uderzono w nie odrazu obuchem: postanowiono (w r. 1423, 1538, 1550 i kilkakrotnie później), że cechy mają być zniesione, że nie mają być w miastach cierpiane. Co prawda, przepisy te pozostały niewykonane, gdyż przemysł ówczesny, nie znajdując innych form bytu, musiał zachować organizacyę cechową, jeżeli miał istnieć dalej; utrzymały się więc cechy i nadal, a przepisy owe pozostały tylko charakterystycznym objawem polityki szlacheckiej, praktycznego nie przynosząc rezultatu. Ale rezultat taki przyniosła inna zasada, którą w ustawodawstwo nasze wprowadzono, widząc niemożność osiągnięcia celu tamtą drogą: postanowiono, że miary, wagi i ceny towarów w miastach mają być peryodycznie ustanawiane przez starostów lub wojewodów i innych urzędników ziemskich. Te przepisy, od pierwszej połowy wieku XV wielokrotnie powtarzane, weszły ściśle w wykonanie. Uzyskała szlachta, czego pragnęła: miała miary i wagi dobre, a ceny niskie, bo je ustanowili urzędnicy szlacheccy; ile na tem stracił przemysł, podnosić nie potrzeba. O rzeczach tych rozstrzygali teraz ludzie, którzy o nich wyobrażenia dokładnego nie mieli, ludzie, dla których interes rzemieślników leżał na najdalszym planie. Był to cios zabójczy dla przemysłu polskiego,

gdyż wobec minimalnych cen towarów, które nieraz nie wyrównywały nawet kosztom produkcyi, rzemieślnicy ubożeli, podupadali, lub porzucając dawniejszy swój zawód, szukali innych środków do życia. Wprawdzie, począwszy od drugiej połowy wieku XVI stanowiono, że ceny towarów wyznaczać ma wojewoda lub starosta wraz z rajcami i ławnikami, a więc z reprezentantami i obrońcami mieszczaństwa, wszelako przepis ten przyszedł w czasie, kiedy ci urzędnicy miejscy stracili już wobec wojewodów i starostów samoistność i niezależność, kiedy zatem głos ich nie miał już w tej sprawie wielkiego znaczenia.

Nie lepiej poszła rzecz z handlem. Pierwszym taranem, który silnie weń uderzył, były ustawy z r. 1496 i 1507, na mocy których szlachcie przyznaną została wolność od ceł, ceł w rozumieniu ówczesnem, t. j. opłat za przewóz towarów, uiszczanych nie tylko na granicach państwa, ale i w kraju samym, na rozmaitych komorach celnych. Szlachcic, który produkty własne, a więc głównie produkty rolne i bydło, wyprowadzał celem sprzedaży, miał być wolny od opłaty cła; niemniej miał być wolny od tejże opłaty i wtedy, jeżeli dla własnej swojej potrzeby sprowadzał jakikolwiek towar. Napozór był to tylko jeden przywilej więcej, dodany do szeregu innych, jakie już w wiekach średnich posiadała szlachta; w rzeczywistości był to ciężki cios, zadany mieszczaństwu i handlowi polskiemu. Zwolnienie celne, dane produktom eksportowanym przez szlachtę (głównie zbożu), powodowało, że szlachta mogła je taniej sprzedawać zagranicą, aniżeli mieszczaństwo, które takiego zwolnienia nie posiadało; skąd poszło, że cudzoziemcy niechętnie zawierali o nie interesy z mieszczanami. Co było jeszcze bardziej niebezpiecznem i szkodliwem, to dalsze postanowienie tych ustaw: że szlachcic, sprowadzający jakikolwiek towar dla własnej potrzeby, wolny jest od opłaty cła. Postanowienie to wytrąciło z ręki mieszczaństwa polskiego handel przewozowy. Kupiec polski, który sprowadzał towar z zagranicy, musiał oczywiście po-

liczyć w jego cenie cenę zakupna, opłacone cła i odpowiedni dla siebie zysk; szlachcic, posiadając zwolnienie cłowe, wolał tedy zakupić towar u cudzoziemca, gdyż cena towaru mniejszą była o wysokość cła, a cła tego sam nie był obowiązany płacić. Przybywali cudzoziemcy z towarami w wielkiej liczbie do Polski, i mogli mieszczaństwu krajowemu robić przez to znaczną konkurencyę. W wiekach średnich zabezpieczono się przeciw temu przez t. zw. prawo składu, na mocy którego cudzoziemcy w ważniejszych miastach musieli towary swe przez pewien czas wystawić na sprzedaż, przyczem obowiązywała zasada, że mogli je pozbywać tylko hurtownie. Oczywiście, hurtownych zakupień nie uskuteczniała publiczność zwykła, ale kupcy miejscowi, którzy ten towar później w mniejszych sztukach i miarach odsprzedawali dalej. Przez to w ręce kupców miejscowych oddaną była znaczna część zysku z handlu przywozowego. Usunięto jednak i to ograniczenie; postanowiono (r. 1507 i 1538), że cudzoziemcom wolno na targach sprzedawać sztukami. Było to przejście do systemu wolnej konkunrencyi, zawczesne, jak na stosunki ówczesne.

Pozostawała jeszcze jedna gałąź handlu, handel wywozowy. Z produktów, jakich dostarczała bogata ziemia polska, powstawały po stosownem przerobieniu w miastach rozmaite rodzaje wyrobów, które nie tylko na miejscu przez ludność krajową, ale i przez zagranicę były poszukiwane. Eksport tych towarów zagranicę otwierał zatem kupcom polskim drogę do zysku i zbogacenia się. Ale szlachta w małostkowej swojej polityce ekonomicznej obawiała się, że przez znaczniejszy zbyt tych towarów zagranicą, podskoczą ceny ich w kraju, że więc ten zysk kupców polskich wyjdzie na szkodę konsumentów miejscowych, t. j. głównie szlachty. Zapomniała o tem, że zbyt zagraniczny nie tyle byłby spowodował podwyższenie cen, ile raczej powiększenie produkcyi miejscowej, rozwój przemysłu. Nie dostrzegając tych korzyści, a obawiając się ciągle o siebie, przeprowadziła szlachta

na sejmie z r. 1565 postanowienie, ponowione w r. 1629, że kupcom polskim towarów miejscowych zagranicę wywozić niewolno. W historyi gospodarstwa społecznego całej ludzkości jest to wypadek ponoś zgoła odosobniony, a na scharakteryzowanie wartości samego postanowienia, wyrazy: nierozum, niedorzeczność, są z pewnością za słabe. Dziwniejsza to, że równocześnie uchwalono, iż cudzoziemcom wolno zakupować towary polskie i wywozić je zagranicę. Przypuszczano snać, że te zakupna nie stworzą wielkiej konkurencyi, a nie spostrzeżono się, że oddano przez to cały handel wywozowy w ręce cudzoziemców, ze szkodą dla kupiectwa miejscowego, bez istotnej korzyści dla siebie.

Podcięto więc jednę po drugiej wszystkie arterye przemysłu i handlu; żywy i zdrowy niegdyś organizm wycieńczono i zniszczono. Przyszły wcześniej i później zewnętrzne jeszcze przeszkody i ciosy: upadł w połowie XV wieku Konstantynopol, upadły osady genueńskie na Morzu Czarnem i Archipelagu, a przez to przecięte zostały stosunki handlowe Polski ze Wschodem, z których tyle przedtem ciągnęła zysków; przyszły potem wojny kozackie i najazdy szwedzkie, przyszły w wieku XVIII stacye i przechody obcych wojsk, przyszły pożary i zarazy morowe. Wszystko jak gdyby się sprzysięgło na upadek miast; cóż dziwnego, że nie wytrzymały pod tymi ciosami! Mieszczaństwo zubożało, miasta się wyludniły, kupiec — jak powiedziano trafnie — stał się kramarzem, rzemieślnik partaczem; wielkie domy patrycyuszowskie miejskie, rozporządzające niegdyś krociowemi fortunami, przetrzymują zaledwie wiek XVI, w XVII upadają i one. Ruina, nicość miast w wieku XVII i pierwszej połowie XVIII, oto ostateczny wynik nierozumnej polityki ekonomicznej szlachty.

Osłabione, a następnie zniszczone materyalnie mieszczaństwo, nie ma już dość siły, ażeby stawić czoło w dalszej walce ze szlachtą o uprawnienia polityczne. Szkoda, że go nie stawiło w czasie, kiedy było jeszcze silnem, a była i wtedy

sposobność po temu. Pod koniec wieku XV i w samych początkach XVI, kiedy instytucya sejmów była właśnie w stadyum tworzenia się, są ślady niewątpliwe, że mieszczanie mieli sposobność zapewnienia sobie w nich udziału, wzywani przez królów do obesłania sejmów swoimi delegatami. Mogło się w ten sposób wytworzyć ciało parlamentarne, w którem obok szlachty także i miasta miałyby zapewnioną reprezentacyę, jak ją miały np. w sejmie rzeszy niemieckiej, w parlamencie angielskim. I są znowu dowody na to, że odliczając pewne wyjątki, miasta z tych wezwań królów nie korzystały; ufne w swoją potęgę materyalną, zajęte i w całości oddane pracy handlowej i przemysłowej, lekceważyły sobie to prawo udziału w sejmach. Przeszła więc szlachta, a i królowie sami do porządku dziennego nad tą sprawą; i kiedy w r. 1505 stanęła wreszcie ustawa organizująca sejmy polskie, w szeregu stanów, którym przyznano udział w sejmie, nie znalazło się już miejsce dla mieszczaństwa. Późniejsze wypadki, które wykazać mogą czasy Zygmuntów Jagiellonów, gdzie posłowie Krakowa biorą udział w sejmach, jako też utrzymany w zasadzie aż do końca istnienia Rzpltej, choć w praktyce bez żadnego znaczenia, udział posłów tegoż miasta w elekcyi, nie zmieniają w niczem istoty rzeczy, podobnie jak udział posłów niektórych innych miast w elekcyi, albo raczej podpis ich na akcie elekcyjnym, który utrzymał się w zwyczaju do końca, był tylko czczą formalnością bez praktycznego znaczenia.

Ten brak właściwej reprezentacyi miast w sejmach pociągnął za sobą najgorsze następstwa. Sejmy, wykonując prawodawstwo, a po części i rząd w kraju, stanowiły teraz o miastach bez miast; szlachta miała możność przeprowadzenia wszelkich swoich wobec nich zamysłów, a nie było w sejmie nikogo, ktoby w imieniu mieszczan wystąpił, ktoby stanął w obronie ich interesu, ktoby zwrócił uwagę sejmujących na szkodliwe skutki ich polityki w tym kierunku. Czy znane nam ustawy ekonomiczne, przeprowadzone za obu

ostatnich Jagiellonów, byłyby przyszły do skutku, gdyby na sejmie znajdowali się reprezentanci miejscy, trudno przesądzać; ale można przynajmniej wypowiedzieć przypuszczenie, że mogłoby się było stać inaczej. W innych kierunkach nie skąpił sejm także swojej opieki miastom: wyręczając starostów i wojewodów, stanowił generalne cenniki towarów, nakładał podatki na miasta w dowolnej wysokości, znosił lub zmieniał według upodobania ich przywileje, okrawywał i ścieśniał ich samorząd wewnętrzny. Że przy tem wszystkiem dobrobyt i rozwój miast nie zawsze mu leżały na sercu, podnosić nie potrzeba, a i tego także, jak dotkliwie uderzały one często w interes miast.

W jednym mianowicie punkcie, ustawodawstwo sejmowe, a po części nowe zwyczaje, przez sejm tolerowane, przyniosły nieobliczalną szkodę miastom: ścieśniły samorząd miejski, a wreszcie i obaliły go niemal zupełnie. Wyrazem i dźwignią tego samorządu były w wiekach średnich dwie głównie władze: rada miejska, jako urząd administracyjny, i ława miejska, jako urząd sądowniczy. Za dawnych czasów wykonywały one pełnię przekazanej im władzy w całym obrębie miasta. Więc przedewszystkiem w sprawach sądowych, mieszczanie, jako pozwani, odpowiadali przed ławą miejską, choćby nawet powodem był szlachcic. Taki stosunek wydał się uciążliwym dla szlachty, która wolała w sprawach z mieszczanami sądzić się w sądzie szlacheckim, grodzkim lub ziemskim; już więc w połowie wieku XV (1454) i później (1538) przeprowadziła ustawę, że wszelkie sprawy o zabójstwo i zranienie szlachcica lub jego kmiecia przez mieszczanina, należą do sądu ziemskiego lub grodzkiego. Było to pogwałcenie odwiecznej zasady: *actor sequitur forum rei,* uczynione gwoli szlachcie, dla zapewnienia surowszego wymiaru kary na mieszczanach. Na odwrót: jeżeli szlachcic popełnił kryminał na mieszczaninie, nie oddawano go pod sąd miejski, ale tylko pod sąd mięszany, złożony z reprezentantów miejskich i starosty (statut toruński 1520 r.).

Była to jednak rzecz podrzędniejszego znaczenia wobec innej, która niebawem nastała. Jeszcze w r. 1550 zastrzeżono wyraźnie, że szlachta, kupująca grunty miejskie, podlega z tych gruntów sądownictwu miejskiemu; aliści niebawem wytworzyła się przez nadużycie zasada, że takie grunty i domy miejskie przez szlachtę posiadane, wraz z osobami tamże mieszkającemi, wolne są od sądownictwa miejskiego, a podlegają tylko sądom ziemskim. To wytworzenie się t. zw. jurydyk było ciężkim ciosem dla sądownictwa miejskiego, a zarazem patentem dla szlachty do nadużyć wobec miast, które jej do odpowiedzialności pociągać nie mogły. W właściwych sprawach miejskich, między mieszczaninem a mieszczaninem, istniał niegdyś osobny tok instancyj, urządzony w ten sposób, że od zwykłych sądów ławniczych szły odwołania do sądów wyższych, w ważniejszych miastach, następnie do sądu wyższego na zamku krakowskim, wreszcie do t. zw. sądu sześciu miast. Wszystkie instancye były zatem złożone z reprezentantów mieszczaństwa. Z biegiem czasu podupadły te sądy wyższe, a przedewszystkiem sąd najwyższy sześciu miast, którego słabe ślady działalności nie sięgają poza połowę XVII wieku. W jego miejsce stała się najwyższą instancyą w sprawach miejskich assessorya, w której miasta nie miały żadnej reprezentacyi.

Bardziej jeszcze, aniżeli władze sądownicze, straciły na znaczeniu rady miejskie. Dwa na pozór niewinne i rzekomo dobrą intencyą wobec miast tchnące postanowienia z lat 1565 i 1567 dały po temu sposobność i pochop. Jedno z nich orzekło, że miasta mają się »poprawować« i z tego liczbę czynić przed starostą; drugie, że miasta z dochodów swych zdawać powinny rachunek staroście. Na tych postanowieniach oparci, starostowie uchwycili w swe ręce kontrolę nad całym zarządem wewnętrznym miast, a przedewszystkiem nad sprawującą ten zarząd radą miejską, podali ją w bezpośrednią od siebie zależność, zniszczyli dawną jej samodzielność. Istniała więc wprawdzie nadal rada miejska, ale

przestała być organem samorządu miejskiego, stała się posłuszną wykonawczynią woli starościńskiej; miastem rządził właściwie starosta, nie rada. A rządził zwykle najgorzej, o rozwój miasta dbał najmniej, najwięcej zaś o wyciąganie dochodów, do czego mu wyraźnie przyznane prawo kontrolowania rachunków miejskich najlepszą dawało sposobność. Podupadłe materyalnie już z innych powodów miasta, niszczały do szczętu pod tym uciskiem starosty. Powiedziano trafnie, że starosta gorszym był nieprzyjacielem miast od Kozaka i Szweda.

Cóż tedy pozostało miastom polskim? Zabito w nich handel i przemysł, zniszczono je materyalnie, usunięto od udziału w sprawach publicznych, zniesiono samorząd, wzięto je pod kuratelę urzędów szlacheckich. Została chyba tradycya i wspomnienie dawnej świetności, zostały co najwięcej formy urządzeń dawnych, poza któremi nie było już żadnej treści.

W ten sposób załatwiono sprawę obu niższych stanów. Pozostawała jeszcze jedna klasa społeczna, wobec której tasama polityka nieprzyjazna nie dała się już zastosować — duchowieństwo. Powołaniem, majątkiem, wykształceniem, inteligencyą i nauką, stało duchowieństwo zanadto wysoko, ażeby można było pomyśleć o jakiemś dalej sięgającem ograniczeniu jego praw. Nie było zresztą powodu po temu, gdyż duchowieństwo składało się przeważnie z szlachty, z krwi i kości tego stanu, który ujął ster wypadków w swoje ręce i kształtował je odpowiednio do swoich celów. Ale nie składało się przecież wyłącznie. Zawsze jeszcze nieszlachcic, który się oddał naukom i celował zdolnościami, mógł doprowadzić do wysokich godności kościelnych. To było solą w oku szlachty, która wyraźnie przyznawała się do tego, iż »prebendy duchowne służyć winny za chleb synom szlacheckim«, a nadto widziała w tem silną zaporę przeciw dążności swojej upośledzenia warstw niższych. Usunęła więc zaporę na tym samym pamiętnym sejmie 1496 r., który w tylu innych względach

przyniósł jej zwycięstwo i tryumf. Stanęła uchwała, wzbraniająca nieszlachcie przystępu do kościołów katedralnych z wyjątkiem kilku kanonikatów, zastrzeżonych dla doktorów teologii, praw i medycyny. Tak więc z wyjątkiem kleru parafialnego i zakonnego, całe wyższe duchowieństwo, to, które w sprawach państwa udział znaczniejszy brało, w kościele rząd prowadziło, i na duchowieństwo niższe stanowczo wpływało, zostało zeszlachcone. Duchowny taki czuł się tak samo jak jego świecki brat szlachcicem, szlacheckie dążności wyznawał i do ich urzeczywistnienia zmierzał. Były wprawdzie między duchowieństwem a szlachtą zatargi i spory, o wiarę naprzykład, jak w wieku XVI, o dziesięciny i inne podobne kwestye; ale były to tylko sprawy ich wewnętrzne, takie same w zasadzie, jak wiele innych podobnych pomiędzy szlachtą świecką; na zewnątrz, kiedy chodziło o interesy stanów innych, albo o atrybucye rządu, była solidarność przekonań i jednolitość dążeń. Nie był to tylko przypadek, że w sejmie polskim reprezentacya duchowieństwa nie stanowiła osobnego ciała, osobnego kollegium, jak np. w francuskich stanach generalnych, że biskupi i arcybiskupi razem z świeckimi dostojnikami tworzyli razem senat, wspólnie obradujący i głosujący. Łączność interesów duchowieństwa i szlachty znalazła zewnętrzny wyraz w organizacyi sejmowej.

Poczuwała się szlachta do solidarności tylko z duchowieństwem łacińskiem; a kiedy po żywym dość ruchu reformacyjnym w pierwszej i w początkach drugiej połowy XVI wieku, wróciła do katolicyzmu, chciało nieszczęście, że w wieku XVII przyszedł spaczony na wskróś system wychowania, który umysły szlachty przejął duchem nietolenrancyi wobec innych wyznań. Po uchwale konfederacyi generalnej warszawskiej z r. 1573, która dyssydentom zapewniła pokój i swobodę wyznania, przyszły ustawy, jak np. ustawa konfederacyi tarnogrodzkiej (1717), która kościoły dyssydenckie zwalić nakazała, kazań i śpiewów wzbroniła, nabożeństwo tylko prywatne odprawiać dozwoliła. Upośledzono nie tylko wy-

znania, ale nawet i odmienne obrządki tej samej katolickiej wiary. Kiedy pod koniec wieku XVI przyszła do skutku Unia brzeska, nasuwała się najlepsza sposobność zapewnienia dostojnikom kościoła unickiego, władykom, a przynajmniej metropolitom udziału w sejmie, obok biskupów i arcybiskupów łacińskich; o ten udział dobijał się episkopat unicki przy zawarciu samej unii, robił o niego starania w wiek później Szumlański, przyjmując unię w metropolii lwowskiej; uchwały komisyi hadziackiej z r. 1658 wyraźnie nawet przyznały metropolicie kijowskiemu i czteru władykom krzesło w senacie; — wszystko napróżno. Starań nie uwzględniono, uchwał nie przyjęto, episkopat unicki od wszelkiego udziału w sejmach polskich wykluczono. Zrobiono tylko połowę w dziele unii; porozumiano się w rzeczach religii, nie umiano ocenić wartości synkrazyi społecznej i politycznej. Mieli przynajmniej unici zapewnioną możność sprawowania funkcyj poselskich, jak ją dawniej mieli zapewnioną i dyssydenci; tym ostatnim odebrano jednak r. 1733 *activitatem* na sejmach i w trybunałach.

Rzućmy raz jeszcze okiem na te przemiany w organizacyi społecznej, które dotąd śledziliśmy w szczegółach. Dokonały się one głównie z końcem wieku XV i w pierwszej połowie XVI; wszystko, co potem następuje, jest już tylko epilogiem, uzupełnieniem tego, co poprzednio przeprowadzono. Myśl przewodnia i zasadniczy charakter tych przemian są jasne. Szlachta, aż dotąd stan uprzywilejowany, ale nie wyłącznie uprawniony, postawiła i urzeczywistniła program w y ł ą c z n o ś c i praw i przywilejów; zagarnęła je wszystkie dla siebie, odebrała je wszystkie innym; stany niższe, które nie miały dość sił, ażeby jej stawić opór skuteczny, stan kmiecy i mieszczaństwo, poniżyła i upośledziła i sobie je podległemi uczyniła; stan inny, którego zwalczyć nie mogła, duchowieństwo, ściśle ze sobą spoiła i w sobie go niejako rozpuściła. Z kilku odrębnych, nierównie silnych, ale współrzędnie funkcyonujących elementów społecznych średniowiecznej Polski,

pozostał jeden, nadmiernie wybujały, inne przygniatający i niszczący. Zasada równowagi, średniowiecznemu ustrojowi społecznemu właściwa, upadła niepowrotnie; na jej gruzach stanęła zasada wyłączności szlacheckiej. Idea szlacheckości stanowi też zasadnicze znamię nowożytnego układu społeczeństwa w Polsce. Kto szlachcic, ten ma prawo — kto nieszlachcic, plebejusz, ten go niema. Nie było w tem wielkiej przesady, kiedy szlachtę, z pominięciem innych warstw społecznych, nazywano narodem polskim; jeżeli naród jest sumą jednostek mniej lub więcej uprawnionych, to nie było prawie w Polsce innego narodu prócz szlachty. Dokonała się jednem słowem wielka ewolucya socyalna, która dawniejszy ustrój przeobraziła z gruntu, i z gruntu zachwiała podstawami dalszego życia narodu.

Jakie przyniosła ze sobą niebezpieczeństwa i szkody pod względem społecznym, staraliśmy się już poprzednio okazać. Tkwiło w niej jednak niebezpieczeństwo w innym jeszcze kierunku: dla ustroju politycznego, a zwłaszcza dla organizacyi rządu. Z chwilą, kiedy się dokonała, kwestye te były już właściwie przesądzone z góry: nie mogło ulegać wątpliwości, że cała organizacya polityczna przesiąknie elementem szlachetności, że rząd, wobec tego elementu, nie zdoła sobie zapewnić bezpiecznej podstawy i oparcia. Stała się szlachta jedyną siłą, jedyną potęgą w państwie; nie było innego żywiołu, któryby jej przeciwstawić, na którymby się oprzeć można; jak w sferze społecznej zwichnęła się i upadła równowaga, tak i w zakresie organizacyi politycznej r ó w n o w a g i takiej stworzyć nię było można; była tylko p r z e w a g a, świadoma swej siły i znaczenia, kształtująca wszystko według własnego uznania, druzgocąca wszystko, co jej stało na zawadzie.

Walka szlachty, ogółu szlachty, o stanowczy wpływ i udział w sprawach politycznych, poczęła się mniej więcej równocześnie z walką jej społeczną przeciw stanom niższym, w połowie wieku XV. Poprzednio udział w tego rodzaju

sprawach miała tylko najprzedniejsza część rycerstwa, możnowładztwo urzędnicze, w mniejszym stopniu za Piastów, w większym za obu pierwszych Jagiellonów. Gromadzili je królowie na zjazdy, z niem omawiali sprawy publiczne, z niem je ostatecznie rozstrzygali. Szlachta zwykła, dostojeństw nie piastująca, w zjazdach tych udziału nie miała, zarządzeniom króla wespół z radą jego wydanym poddawać się musiała. Przyszedł czas, w którym to odsunięcie od spraw publicznych wydało się jej krzywdą; przyszła niebawem i sposobność upomnienia się o nowe prawo. Zgromadzone na polach Nieszawy r. 1454 pospolite ruszenie rycerstwa, groźbą zaniechania wyprawy przeciw Krzyżakom, wymogło na królu przywilej, w którym znalazło się postanowienie, że król na przyszłość ani nowych praw stanowić, ani ziemian na wyprawę wojenną ruszać nie będzie bez zwołania sejmików w poszczególnych ziemiach. Zyskała szlachta od razu uprawnienie, sięgające dalej, niż je miała dotychczas rada królewska; zyskała głos stanowczy w rzeczach ustawodawstwa, którego prawnie nie posiadała rada, choć faktycznie zdanie jej najczęściej rozstrzygało. Po różnych przejściach, z obu tych elementów, rady królewskiej i sejmików, wytworzyła się pod koniec XV wieku wspólna, centralna władza prawodawcza, sejm walny koronny, w ten sposób, że rada z najwyższych dostojników państwowych, ziemskich i duchownych złożona, utworzyła w nim izbę senatorską, sejmiki zaś przez swoich delegatów reprezentowane były w izbie poselskiej; za trzeci »stan« w sejmie, uważany był król. Miał każdy z tych składników początkowo tyle tylko praw w sejmie, ile ich miał przed wytworzeniem się sejmu; nie miał zatem senat głosu stanowczego, tylko doradczy; dopiero radomski statut z r. 1505 stawiając wymóg wspólnego zezwolenia *(communis consensus)* posłów i senatu, porównał stanowisko prawne obu izb sejmowych.

Przywykliśmy, mówiąc o sejmie, nazywać go ciałem parlamentarnem, reprezentacyą narodu. Jeżeli do tych nazw

przywiążemy znaczenie ścisłe, dzisiejsze, to trzeba je będzie chyba zarzucić. W obu izbach sejmowych zasiadali tylko reprezentanci jednego stanu, szlachty, w jednej reprezentanci szlachty zwykłej, w drugiej członkowie możnowładztwa; że pośród tych ostatnich znajdowali się dostojnicy duchowni, nie zmienia stanu rzeczy, gdyż duchowieństwo, jak widzieliśmy, ściśle zespoliło się z szlachtą i osobnego kollegium w senacie nie tworzyło. Nie było natomiast w sejmie reprezentacyi mieszczan, stanu, który według pojęć współczesnych, na Zachodzie w praktyce urzeczywistnionych, miał zdolność brania udziału w zgromadzeniach prawodawczych. Nie była to reprezentacya narodu w znaczeniu dzisiejszem, jak zresztą reprezentacyi takiej nie było nigdzie indziej współcześnie; była to tylko reprezentacya stanowa, taka sama w zasadzie, jak gdzieindziej na Zachodzie, tem jednak od zachodniej stanowczo różna, że nie łączyła w sobie kilku stanów, ale tylko jeden, szlachecki. Zasada wyłączności szlacheckiej odbiła tedy wyraźne swe piętno na organizacyi sejmu. Był chyba sejm reprezentantem »narodu« w ówczesnem pojętego znaczeniu, t. j. samej szlachty. Ale i tutaj trzeba zrobić jeszcze jedno zastrzeżenie. Poseł sejmowy nie czuł się z mocy swego stanowiska powołanym przestrzegać dobra całego państwa, działać w interesie ogółu; a gdyby nawet chciał, częstokroć nie mógł tego uczynić. Był związany instrukcyą przez sejmik wydaną, musiał się do niej ściśle zastosować, nie mógł jej bez upoważnienia od braci przekroczyć; z czynności swoich zdawać musiał sprawę na sejmiku relacyjnym (od 1589 r.) i za nie wobec swych mocodawców był odpowiedzialnym. Był zatem tylko reprezentantem sejmiku, pośrednikiem w objawieniu jego woli; izba poselska nie była izbą parlamentarną w znaczeniu dzisiejszem, ale zebraniem pełnomocników większej liczby ziem czyli województw, z których żadne nie poczuwało się do obowiązku poddania jakiejś uchwale, jeżeli jej dobrowolnie nie przyjęło samo. Już w tej organizacyi sejmu tkwiła zasada *liberum veto*. Nie dała mu sankcyi

ustawa radomska z r. 1505, gdyż w ustawie tej, może z umysłu, wcale nie dotknięto kwestyi jednomyślności, a postawiono tylko zasadę wspólnego zezwolenia obu izb sejmowych; sankcya ta leżała już w statucie nieszawskim, który do uchwalenia nowej ustawy żądal przyzwolenia wszystkich bez wyjątku sejmików. I stąd się tłómaczy, dla czego *liberum veto*, kiedy z biegiem czasu nabrało znaczenia, wykonywane być mogło tylko w izbie poselskiej, nie w senacie. Senatorowie, każdy z osobna, nie byli mandataryuszami woli jakiejkolwiek samoistnej jednostki ustawodawczej; wolę tę reprezentował każdy z osobna poseł. Dla tego senat tylko jako ciało zbiorowe mógł się sprzeciwić ustawie; w izbie poselskiej posiadał to prawo każdy jej członek. Zdrowy zmysł szlachty nie odrazu wyprowadził wszystkie najskrajniejsze konsekwencye z owej zasady; bywały w wieku XVI częstokroć niezgodności instrukcyj, bywały spory pomiędzy posłami; zwykle jednak starano się i umiano je załagodzić, robiono wzajemne ustępstwa, przekraczano czasem instrukcye, biorąc na siebie odpowiedzialność wobec braci; jeżeli sejm zerwano, to tylko dla tego, że poważna większość była jakiejś myśli przeciwną. Dopiero w wieku XVII, kiedy przyszedł upadek moralny i umysłowy szlachty, *liberum veto* zaczęło się rozwielmażniać w całej swojej nagości i w całej okropności. Co prawda, i teraz jeszcze nie należy go brać całkiem dosłownie, jako możność zrywania sejmów głosem jednego przeciw woli wszystkich bez wyjątku. Są znane wypadki, że taki zgoła odosobniony opór jednostki nie przynosił rezultatu; sejmujący nie zważali nań wcale, albo pozbywali się opornego; kończyło się na srogim proteście w aktach jakiegoś grodu; sejm dokonywał rozpoczętego dzieła, ustawy wydawał i wykonanie im zapewniał. Było *liberum veto* niebezpiecznem wtedy, jeżeli poza zrywającym posłem stała jakaś grupa zwolenników; ci kładąc nacisk na zasadę »wolnego głosu«, tamowali czynności sejmu, nie dopuszczali do powzięcia uchwał. Było zatem *liberum veto* środkiem, za pomocą którego mniejszość sejmowa mogła ter-

roryzować większość, ale i w tej formie było ono najzgubniejszą zasadą politycznego ustroju Polski. Było zgubnem już przez to samo, że dawało mniejszości możność paraliżowania zamysłów większości, że w sejmowanie polskie wprowadziło i na pierwszym planie postawiło ideę negacyi, że wreszcie negacyi tej utorowało najłatwiejszą drogę zwycięstwa. Były sprawy i dążenia tak czasem brudne i nikczemne, że żadna mniejszość czy większość nie odważyłaby się do nich przyznać otwarcie; gdzieindziej spraw tych nie możnaby było podnosić, a tem mniej bronić i przeprowadzać; w Polsce potrzeba było tylko wyszukać jednego posła, któryby miał dość cynizmu stanąć w ich obronie i zrobić użytek z *liberum veto*, a sukces był zapewniony: sejm się zrywał; oponenta trafiała często wzgarda i nienawiść społeczeństwa, ale ci wszyscy, co za nim stali, dopiąwszy celu, wychodzili czysto i bez szwanku. Stało się też *liberum veto*, nazywane powszechnie »źrenicą wolności«, a w konstytucyi z r. 1718 »najprzedniejszym klejnotem wolnego narodu tej Rzeczypospolitej«, nie tyle palladium wolności obywatelskiej i dobra pospolitego, ile raczej schroniskiem i twierdzą niecnych aspiracyj, podłego egoizmu, zgangrenowanego moralnie ducha. Miała Polska, szczęśliwem zrządzeniem Opatrzności, nawet w czasach największego upadku, wielu ludzi celujących inteligencyą i najlepszą dla sprawy publicznej chęcią; ich usiłowania i prace byłyby mogły przynieść naprawę Rzeczypospolitej, częściową czy całkowitą, usunięcie złego, jakie się zagnieździło. Ale miała i mieć musiała, jak każde inne społeczeństwo, a zwłaszcza takie, jak nasze w XVII i pierwszej połowie XVIII wieku, garść ludzi złych, naprawie złego przeciwnych, w nieładzie i nierządzie korzyści szukających, osobiste swoje widoki nad dobro publiczne stawiających; ci mieli zawsze w *liberum veto* gotowy środek sparaliżowania najlepszych chęci, najszlachetniejszych dążeń. Szczególnie podupadłe moralnie możnowładztwo, rozporządzające wpływem i pieniądzmi, działało w tym kierunku. Wywalczyła sobie izba poselska do-

minujące w sejmach stanowisko; pracy sejmowej nadawała charakter, pracę tę głównie prowadziła. Senat w akcyi sejmów polskich cofał się zawsze na drugi plan. Ale kiedy przyszły czasy zepsucia i okazało się, że posłowie łatwo dają się chwytać na lep możnowładztwa, zmieniły się role. Na zewnątrz senat stał wprawdzie zawsze na uboczu, ale w rzeczywistości jaki taki magnat kierował akcyą izby poselskiej, tworzył stronictwa i fakcye pośród posłów, do wzajemnej zagrzewał je walki w imię widoków i dążności swoich osobistych, a wreszcie, w razie potrzeby, rozporządzał zawsze skutecznem — *liberum veto.*

Rwały się więc i rozchodziły sejmy, z początku wyjątkowo, później coraz częściej, aż wreszcie za czasów saskich doszło do tego, że przez kilkadziesiąt lat po kolei żaden sejm nie mógł przyjść do skutku. Instytucya, która w ręku swojem skupiła najwyższą władzę w państwie, władzę prawodawczą, władzę uchwalania wojny, stanowienia podatków, kontroli nad rządem, a w części i rząd sam, skazywała się na przymusową bezczynność, czasem w chwili najkrytyczniejszej i w najnaglejszej potrzebie, kiedy należało działać bez zwłoki — i działać koniecznie. Nie dziw, że najważniejsze zadania państwa nie znachodziły urzeczywistniena, że mijały bez korzyści najlepsze sposobności doniosłych reform i ważnych czynów, że wreszcie wszystko opuszczało ręce apatycznie — zdając los państwa na wolę Opatrzności, a raczej wydając go na pastwę anarchii.

Wiernem uzupełnieniem tej orgnizacyi sejmowej była organizacya sejmików. W sejmikach nikt nie mógł brać udziału prócz szlachty. Miasta przystępu do nich nie miały, mimo, że wyłączenie ich z sejmu wskazywało jako rzecz pożądaną dać im głos przynajmniej w tem ściślejszem zgromadzeniu, przygotowującem materyał do pracy sejmowej i pracy tej wskazującem kierunek. Wyłączność szlachty, jej ścisłe oddzielenie się od reszty społeczeństwa, znalazły zatem i tutaj dobitny wyraz dla siebie. Co do szlachty zaś,

nie było żadnego wyjątku. Należy do sejmiku szlachcic, piastujący urząd ziemski, czy jakikolwiek inny, należy posesyonat, dzierżący prawem dziedzicznem wieś lub cząstkowy dział wsi, należy zastawnik i dzierżawca, należy wreszcie nieposesyonat, klamki pańskiej trzymający się, na dworze magnata chleb wysługujący. Kto tylko posiada herb, należy do sejmiku, bez względu na swój zawód, na pozycyę majątkową, na stopień inteligencyi i wykształcenia. Obliczono, że sejmik obu ziem kujawskich, liczący przypuszczalnie około 1000 uczestników, nie miał więcej nad 100 szlachty, sprawujących funkcye ziemskie, dających gwarancyę poważniejszego rozumienia rzeczy publicznych; przewaga liczebna była po stronie ciemnego przeważnie tłumu szlacheckiego. Że to nie wychodziło na korzyść sprawie publicznej, mówić nie potrzeba. Ale trzeba przypomnieć, że ten ciemny tłum stawał się najczęściej posłusznem narzędziem w ręku możnowładców, głównie przez to, że znaczna jego część była od nich bezpośrednio zależną, czy to jako familianci, z łaski magnata na jego dobrach rozrzuceni. Jak na dzierżawcy w obszernych jego dobrach rozrzuceni. Jak na sejmie, tak i na sejmikach mieli zatem możnowładcy zapewnioną przewagę, kierowali wyborami posłów tak, ażeby z nich wyszli ludzie zaufani, na rękę im idący, wsadzali do instrukcyi postanowienia, które sami chcieli przeprowadzić. I tu najczęściej nie dobro pospolite, ale osobisty rozstrzygał interes. Były próby zapobieżenia temu, jak np. kiedy w roku 1611 kilka województw uchwaliło, że nieposesyonaci mają być z sejmików wykluczeni i przewaga przez to oddana w ręce szlachty inteligentniejszej i bardziej niezawisłej; wszelako większość województw zasady tej nie przyjęła, a i tam, gdzie ją z początku wprowadzono, niebawem się zatraciła. Tłum szlachecki, jak przedtem, tak i potem, a przezeń zręczni agitatorowie, którzy go do swych celów użyć umieli, pozostali panami sytuacyi na sejmikach.

Wśród takich warunków, nawet zasada stanowienia

uchwał większością głosów nie na wiele byłaby się przydała, gdyż większość ta byłaby zawsze po stronie mas ciemnych. Ale teorya »wolnego głosu« tak głęboko wpoiła się w przekonania społeczeństwa ówczesnego, że ją zastosowano i do sejmików. W r. 1673 postanowiono wprawdzie znieść jednomyślność, ale rzecz ta nie przyjęła się w praktyce, a konstytucya z r. 1718 wyraźnie zastrzegła, że »głos wolny fundujący się *in iure vetandi*«, ma być nadal zachowywany na sejmikach. A zatem, kiedy jakaś rzecz dodatnia, myśl zbawienna, znalazła poparcie w sejmiku, mniejszość, mająca interes przeciwny, mogła jej znowu przeszkodzić, opierając się na *liberum veto*. Dziwna to była konstrukcya ustroju Rzeczypospolitej! Na sejmie jeden poseł, zleceniem sejmików się zasłaniając, mógł zniszczyć wszelką pracę, dobro państwa mającą na oku; na sejmiku jeden szlachcic mógł z instrukcyi usunąć wszystko, coby mogło przynieść pożytek dla sprawy publicznej. Na barkach każdego szlachcica, ilu ich tylko było, spoczywał cały los Rzeczypospolitej, choćby to nawet był prosty wyjadacz misy pańskiej, istota ciemna i ograniczona! Wsparto gmach Rzeczypospolitej na krociach filarów; jakże trwałym byłby ten gmach, gdyby wszystkie były — ze spiżu.

Odczuwano i rozumiano całą potworność takiego stanu rzeczy; znajdowano się w położeniach, w których koniecznie trzeba było odstąpić od tych zasad, a jednak nie odważono się nigdy usunąć zasady stanowczo, radzono sobie tylko półśrodkami. Takim półśrodkiem przeciwko *liberum veto* stała się konfederacya, w której głos wolny nic nie ważył, a uchwały zapadały większością głosów. Dziwne to zjawisko, i na ustrój Polski charakterystyczne rzucające światło, że to, co z natury rzeczy powinno być, i gdzie indziej było regułą, w Polsce dało się urzeczywistnić tylko jako rzecz nadzwyczajna, wyjątek. Była bowiem konfederacya z istoty swojej czemś wyjątkowem, rzeczą, do której się uciekano w nadzwyczajnych tylko okolicznościach. Zrodzona w wiekach średnich, przez naśladownictwo zwyczajów zachodnich,

choć wtedy z odmiennych pobudek, nabrała ona właściwego znaczenia w Polsce dopiero w czasach nowszych. Na wspólnym, pod wiarą i poczciwością zaprzysiężonym związku zasadzając się, zmierzała konfederacya wspólnemi siłami do osiągnięcia wspólnego celu, takiego, który nie dał się osiągnąć w sposób zwyczajny, środkami zwykłymi. W tem rozumieniu pojęta, była konfederacya dla życia politycznego narodu obosieczną bronią w najszerszem tego słowa znaczeniu. Mogła dać walne poparcie rządowi, jeżeli nie był w możności przeprowadzenia jakiegoś zadania, mogła stanąć w obronie sprawy dobrej i pożytecznej dla ogółu. Dość przypomnieć wiślicką konfederacyę przeciw rokoszowi Zebrzydowskiego, tyszowiecką przeciw inwazyi szwedzkiej i kilka sejmów pod węzłem konfederacyi zawiązanych, a pośród nich ten największy, czteroletni, któremu ustawę Trzeciego Maja zawdzięczamy. Ale mogła się też zawiązać przeciw rządowi, przeciwko istniejącemu porządkowi prawnemu, destrukcyjne cele i anarchię wywiesić na swym sztandarze, jak radomska naprzykład, albo ta najstraszniejsza, jaką dzieje nasze wykazują: targowicka. Byłaż konfederacya dodatnim czy ujemnym objawem naszego życia publicznego? Zasadniczo rzecz biorąc, była rzeczą najgorszą. Była znamieniem chorobliwości ustroju politycznego, nawet wtedy, kiedy rządowi dawała poparcie i dobra ogólnego broniła, wykazując, że rząd jest za słaby, ażeby przekazane sobie zadania przeprowadzić. Była skupieniem sił narodu w niewłaściwym zbiorniku; zamiast te siły zgromadzić i poddać prawidłowej władzy, tworzyła drugą obok niej władzę nieprawidłową, osobno siłami temi rozporządzającą. Była pokuszeniem ambitnych jednostek do czynienia rozterek w państwie celem przeprowadzenia osobistych celów, i środkiem wygodnym, do którego, pozyskując takie jednostki, uciekać się mogły ościenne rządy, jeżeli im zależało na zakłóceniu pokoju w Polsce. Była wieczną groźbą, strasznym mieczem Damoklesa, zawieszonym nad bezpieczeństwem obywateli i trwałością ich praw,

choćby najlepszych, które każdej chwili przez zwycięską konfederacyę mogły być obalone. Była wreszcie rzeczą, która z natury nadawała się raczej do użytku złego, niż dobrego; albowiem rząd, który potrzebował poparcia, mógł i powinien był skupić siły narodu około siebie samego, ale opór przeciwko niemu, rewolucya, miały daną możność legalnego przejawu w konfederacyi.

Jakimże był ten rząd polski, że tak niedostatecznie odpowiadał swojemu zadaniu? Na czele jego stał król, niegdyś, za ostatnich Piastów, pełnię władzy rządowej dzierżący, rady możnowładców często szukający, ale jej nie uległy, w urzędnikach przez się ustanawianych, starostów, posłuszne narzędzie woli swojej znajdujący. Dziedziczne jego prawo do tronu nadawało mu wobec całego społeczeństwa, wobec najwyższych nawet jego warstw, stanowisko niezależne, dla jego rozkazów budziło posłuch i uszanowanie. Kiedy przyszła zmiana dynastyi, zmieniło się stanowisko króla. Jagiełło i jego następcy czuli, że tron swój zawdzięczają woli narodu, a zwłaszcza możnowładztwa, musieli temu możnowładztwu przyznać szerszy udział w sprawach rządu, niż go miało poprzednio. Prawnie nie miało ono tu wprawdzie głosu stanowczego; zawsze jeszcze stanowiło tylko r a d ę królewską, ale faktycznie chwyciło ster rządu w swe ręce i nadawało mu kierunek, pod słabszym królem, jak Jagiełło, z silniejszym naciskiem, pod energicznym bardziej, jak Kazimierz Jagiellończyk, z mniejszą stanowczością. Ale nawet najtęższy umysł na tronie nie miał wobec niego tej swobody ruchu, jak niegdyś Piastowie; elekcyjność tronu, która za Jagiellonów jest już zasadą prawną, staje mu w tej mierze na przeszkodzie. Wszakże za Jagiellonów elekcyjność nie przynosi jeszcze skutków zbyt szkodliwych, łagodzi je ciągłość panowania dynastyi, wybory z ojca na syna, z brata na brata idące. Dopiero od r. 1573 zasada wybieralnego tronu staje w pełnej grozie jako czynnik rozkładowy politycznego życia narodu. Jest naprzód groźną przez samą swoją

formę zewnętrzną. Wybór króla nie należy do jakiegoś ściśle zamkniętego kollegium, jak w Niemczech naprzykład, nie należy choćby do większej grupy w narodzie, takiej jednak, któraby dawała pewność wytrawności sądu politycznego i przejęcia się ideą dobra pospolitego; należy do »narodu« całego — każdy szlachcic, jakikolwiek on jest, ma prawo wybierać króla. Tłum ciemny ma więc znowu przewagę liczebną, a przez to los i wynik elekcyi zdany jest na przypadek; jeżeli nawet elekcja jest rozumnym aktem politycznym, jest nim tylko przez przypadek. Tłum nie miał i nie mógł mieć dokładnego zrozumienia, który kandydat jest najodpowiedniejszym, jaki wybór wobec istniejącej konstelacyi politycznej jest najlepszym. Nie mając sądu własnego, przyjmował sąd innych, dawał się używać za narzędzie tym, którzy sami do tronu pięli się, lub w przeparciu pewnej kandydatury szczególny mieli interes. Stawała się w ten sposób elekcya wielkiem targowiskiem o koronę, na którem szukano dróg do najniższych instynktów ludzkich, przekupstwem walcząc, obietnicami faworów, groźbami niełaski, zasiewaniem osobistej niezgody i Bóg wie czem jeszcze podobnem. Była demoralizacyą społeczną, karmiąc i podsycając złe nałogi jednostek; była demoralizacyą polityczną, stawiając los państwa na szalę prywaty. A że w tak wielkim tłumie, w którym wiele sprzecznych krzyżowało się dążności, jednomyślność była trudną do osiągnięcia, więc rodziła częstokroć wybory niezgodne, zamieszki i wojny domowe, do gruntu wstrząsające Rzecząpospolitą, bo jak i gdzieindziej, tak i tutaj mniejszość nie chciała i nie umiała poddać się większości, i tak długo przeciw kandydatowi większości swojego kandydata za króla uznawała, dopóki jej nie pokonano lub — nie ułagodzono.

Wszelako nie tylko formą, ale i samą zasadą swoją, była elekcya fermentem rozkładu, zwłaszcza w organizacyi rządu. Wybrany król, choć tytułował się »z Bożej łaski«, wstępował na tron z woli i łaski narodu; dla tego naród-

szlachta uważał sobie za prawo dyktować mu warunki, pod któremi tron mu oddaje. Powstawał między nim a narodem stosunek kontraktowy, znajdujący wyraz w *pactach conventach,* po raz pierwszy w roku 1573 wprowadzonych, stosunek, który na króla wkładał cały szereg obowiązków do wypełnienia. A nie były to obowiązki w samej istocie królewskości tkwiące, takie, jakich od każdego monarchy ma prawo domagać się naród, ale raczej szereg ściśle określonych zadań, których spełnienie należało właściwie do narodu, których ciężar przerzucał jednak naród z siebie na barki królewskie, nie pytając często, czy im król wydoła. Targiem była elekcya, targiem były *pacta conventa;* różnica zachodziła tylko w tem, że tam król targował się o koronę, tutaj naród o zdjęcie z siebie obowiązków. Obie rzeczy dopełniały się nawzajem: dawano świadczenie za świadczenie. Ale dla tych marnych widoków i chwilowych zysków zapominano często o rzeczy zasadniczej: ó dobru pospolitem. Targowano się prócz tego i o inną rzecz jeszcze: o atrybucye królewskie. Nie było straszniejszej zmory dla szlachcica polskiego nad *absolutum dominium* i dziedziczność tronu; obawiając się, ażeby król nie wprowadził jednego lub drugiego, dyktowano mu w *pactach conventach* coraz dalej sięgające ograniczenia jego władzy. Był to środek najskuteczniejszy ukrócenia jego praw, bo kandydat, którego powoływano na tron, nie miał innego wyjścia, jak tylko — przyjąć podane mu warunki.

Stosunek kontraktowy, wyrażony w *pactach conventach,* miał jeszcze jedno ważne następstwo: że niedotrzymanie zobowiązań z jednej strony znosiło zobowiązanie strony drugiej. Jeżeli więc król naruszył *pacta conventa,* lub zaprzysiężone przez siebie przywileje królestwa, tracił władzę królewską, naród uważał się wolnym od posłuszeństwa. Zjawia się ten artykuł *de non praestanda obedientia,* po niefortunnej próbie uczynionej w Mielniku r. 1501, ponownie znowu przy wyborze Henryka Walezyusza r. 1573, jako sankcya sto-

sunku kontraktowego między królem a narodem istniejącego. Stawi on zasadę odpowiedzialności króla wobec narodu, która w wiekach średnich istniała wprawdzie gdzieniegdzie, jak w Niemczech, ale w czasach nowszych, jako przeciwna istocie rządu monarchicznego, wszędzie usuniętą została. W Polsce odgrzebano ją na nowo, a nadano jej konstytucyę najnieszczęśliwszą. Nie określono formy odpowiedzialności monarszej, nie powiedziano, kiedy wina króla uchodzić może za udowodnioną; nie wyznaczono sądu, który stwierdziwszy naruszenie obowiązków, mógłby naród zwolnić od posłuszeństwa. Sąd ten należał więc do narodu samego, stwierdzenie winy mogło nastąpić bez żadnej procedury formalnej. Naród miał zupełną swobodę orzekać tu według własnego mniemania, t. j. mógł orzec o winie nawet tam, gdzie jej nie było, jeżeli tylko król z jakichkolwiek powodów nie był mu na rękę. Była to legalna autoryzacya buntu, choćby najniesprawiedliwszego. Kiedy przyszły czasy, że w Polsce dwu równocześnie walczyło królów o władzę, każdy z pewnym zastępem oddanych sobie adherentów, i kiedy później adherenci jednej strony przechodzili na stronę drugą, zdarzało się, że w manifestach usprawiedliwiających to odstępstwo, podnoszono jako powód: niewykonanie *pactów conventów* przez poprzednika.

Przypatrzmy się z kolei prawidłowemu biegowi spraw rządowych. Zdawna już, jak widzieliśmy, było w zwyczaju, że król jako zwierzchnik rządu załatwiał sprawy za radą senatorów, ale rada ta nie miała sobie p r a w n i e przyznanej możności ograniczenia jego woli swoim głosem stanowczym. W tym stanie rzeczy nie zaprowadził żadnej zmiany statut radomski z r. 1505, który przyznając senatowi głos stanowczy w sprawach ustawodawstwa, nie dotknął w niczem organizacyi samego rządu. W r. 1573 artykuły Henrykowskie zarządziły, że zamiast nieokreślonej dotąd liczby senatorów, przypadkowo na dworze królewskim obecnych, rady swojej w rzeczach rządu mu udzielających, ma być z każdego sejmu

na przeciąg dwu lat delegowanych 16 (od 1641 roku: 28) senatorów, zwanych senatorami *ad latus*, czyli rezydentami, po czterech, później po siedmiu przy boku króla co pół roku zasiadających. Bez ich rady król nic ważniejszego w sprawach rządu przedsięwziąć nie powinien. Jednomyślne zdanie rezydentów jest uchwałą, przeciw której król działać nie może; jeżeli natomiast niema pomiędzy nimi zgody, król nie jest wiązany większością głosów, ale wybrać może to, co najbardziej odpowiada wolnościom, prawom i zwyczajom, tudzież dobru Rzeczypospolitej. Miał więc jeszcze król zapewnioną wcale znaczną swobodę ruchu w akcyi rządowej. Dopiero później wytworzył się zwyczaj, potwierdzony konstytucyą z r. 1717, że uchwały rady przybocznej zapadają większością głosów. Cokolwiekbądź, rada ta nie była w zasadzie rzeczą złą; nie przyznano jej nigdzie prawa zmuszenia króla do jakiejś akcyi, tylko prawo ograniczenia jego działań; miała ona możność stać na straży obowiązujących ustaw i zapobiegać ich naruszeniom przez króla, a nadto mogła zdaniem swojem wspierać jego czynności rządowe i właściwy im wytyczać kierunek. Ale w tym ostatnim względzie organizacya jej była chybioną z gruntu. Zmieniała się co dwa lata, a raczej co pół roku; za każdym razem przychodzili ludzie nowi, z poprzednią działalnością rady dokładnie nieobeznani; nie było w niej jednolitości kierunku i zasad rządowych, nie było trwałej i nieprzerwanej tradycyi, nie było jednostajnej rutyny. Co pół roku zaczynało się wszystko na nowo, a wobec tego żadna sprawa, dłuższego wymagająca czasu, konsekwentnego prowadzenia, nie mogła liczyć w niej na skuteczne poparcie. Nie przyniosła więc owa rada tych korzyści ze sobą, jakich się po niej można było spodziewać; przyniosła raczej pewną ociężałość w akcyi rządowej, jako ciało zbiorowe, kolegialne, powoli funkcyonujące. Nosiła w sobie grzech pierworodny owej dążności, która ją poczęła i zrodziła: artykułom Henrykowskim nie chodziło o stworzenie sprężystego rządu centralnego, tylko

o kontrolę nad królem, któremu nie ufano. Miał jednak król nad radą niezaprzeczoną przewagę; był w niej jedyną osobą, która reprezentowała ciągłość zasad, i to było powodem, że nigdy rada jako organ rządowy nie doszła do zbytniej wobec niego przewagi, a jeżeli miała nań wpływ dalej sięgający, to chyba znaczeniem osób w skład jej wchodzących.

Miał więc faktycznie naczelny reprezentant rządu wcale szeroki zakres swobodnego działania, mógł w tym zakresie rozwinąć wielostronną, sprężystą działalność. Rozumie się, że skuteczność jego pracy zawisłą była głównie od ścisłego wykonywania jego poleceń i rozkazów przez podwładne mu organy urzędnicze. Ale tu właśnie leżała największa i najdotkliwsza ułomność systemu rządowego w Polsce. Organizacya władz wykonawczych była tak niefortunnie pomyślana, że nie dawała najmniejszej rękojmi ścisłego wykonywania nakazów rządu naczelnego. Były głównie dwie kategorye tych władz: urzędy wielkie, koronne i litewskie, z zakresem działania na całą prowincję, jakoto: kanclerze i podkanclerze, podskarbiowie, marszałkowie i hetmani wielcy i polni; a następnie starostowie, jako urzędnicy wykonawczy w powiatach. Miał król prawo mianować tych urzędników bez czyjejkolwiek ingerencyi obcej, a przez to możność stworzenia aparatu administracyjnego, posłusznego sobie i zależnego od siebie; ale nie miał drugiego prawa, które potrzebnem było do utrzymania posłuszeństwa i zależności: nie miał prawa urzędu nadanego odebrać z powodu przewinienia urzędowego. Orzekł tak wyraźnie statut z r. 1538, i przez to w organizacyi rządu polskiego uświęcił zasadę najzgubniejszą. Odpowiedzialność urzędnika wobec króla kończyła się na grzywnach pieniężnych, zwykle bardzo wysokich, a przez to rzadko stosowanych, ale nie było środka i sposobu pozbycia się go, jeżeli obowiązków swoich nie pełnił, albo nakazom wyższym otwarcie się sprzeciwiał. Niektóre przepisy konstytucyj, wkładające na urzędników obowiązek wykonania uchwały sejmowej *sub poena privationis officii*, stanowiły tylko wyjątek,

a i one wobec znaczenia, jakiego urzędnicy zwykle zażywali, prawie nigdy nie były stosowane. Utrata urzędu łączyła się tylko z zasądzeniem za ciężkie zbrodnie, które pociągały za sobą niemożność sprawowania funkcyj publicznych, ale nie łączyła się z przewinieniem urzędowem jako takiem. Mógł więc król wydawać rozkazy, i mógł ich urzędnik nie spełniać; nie było środka stanowczego, któryby go zmusił do posłuszeństwa. Ściśle rzecz biorąc, był więc urzędnik nieodpowiedzialnym wobec władzy naczelnej rządowej; zaczem też nie było właściwie rządu. Zasadnicze pytanie, dla czego w Polsce tyle praw stanowiono, a tak mało wykonywano, tłómaczy się samo przez się. Wykonanie prawa polegało na dobrej woli urzędnika, nie na jego podwładności urzędowej. Tylko wobec sejmu niektórzy urzędnicy, jak np. podskarbiowie, obowiązani byli do zdawania sprawy z swych czynności i odpowiadali za nie; ale i tu był środek usunięcia niebezpieczeństwa, jeżeli zachodziła potrzeba; szukano wtedy zwolenników w sejmie, z których jeden robił użytek z *liberum veto:* sejm się rozchodził, odpowiedzialność się kończyła.

Zapanowały tedy najdziwaczniejsze i najopłakańsze stosunki w organizacyi rządu polskiego: król był odpowiedzialnym wobec narodu, choć nie miał środków kierowania rządem według własnej woli i uznania — urzędnik postępował według swego widzimisię, a nie był odpowiedzialnym przed nikim. Wbrew naturalnemu porządkowi rzeczy, zmieniły się role: król — jak powiedział słusznie Kalinka — był raczej powagą, niż władzą, każdy urzędnik w swoim zakresie był na mniejszą skalę — królikiem. Rządził jak pan udzielny w swoim powiecie starosta, prowadził zarząd skarbu niezależnie podskarbi, rozkazywał wojsku samowładnie hetman. Król, jeżeli potrzebował pieniędzy i wojska, musiał zamiast rozkazywać — o względy się ubiegać. Taki rząd, to nie był rząd, ale — bezrząd.

Nie koniec na tem. Była jeszcze jedna zasadnicza wada w tym rządzie, która do reszty czyniła go bezsilnym: decen-

tralizacya. Z tą błędną strukturą, jaką dotąd poznaliśmy, mógłby on był przecież znaleść warunki rozwinięcia korzystnej dla państwa działalności, skoro tylko na czele spraw rządowych stanęłyby umysły tęgie, charaktery silne i czyste — a tych nam Opatrzność niejednokrotnie nie skąpiła. Ale trzeba było tym ludziom dać możność skupienia w swem ręku wszystkich nici zarządu, sprowadzenia akcyi rządowej do jednego wspólnego źródła, nadania jej jednolitego kierunku, a przez to zapewnienia jej potrzebnej energii i sprężystości. Napróżno! Odśrodkowy ruch społeczeństwa rozdrobnił wszystko na mniejsze cząstki, które razem działać nie umiały i nie chciały, a przez to energię rządu, jakaby się jeszcze znaleść mogła, zabijały. W najwyższych i najniższych pokładach organizacyi państwowej wszystko było zdecentralizowane. Rzeczpospolita składała się z dwu prowincyj, Korony i Litwy; obie za Jagiełły połączone w państwo złożone, za Zygmunta Augusta zespolone jeszcze ściślej, zachowały przecież każda dla siebie zgoła odrębny rząd, osobny skarb i osobne wojsko, i osobnych urzędników wielkich, stojących na czele poszczególnych gałęzi administracyi. Gdzie chodziło o wspólną akcyę całego państwa, tam rodziły się znaczne trudności, bo nie zawsze dała się osiągnąć zgoda i porozumienie obu rządów. Nie lepiej szło w prowincyach samych; każda z nich składała się z kilkudziesięciu odrębnych całości, tylu, ile było województw lub ziem, z których każda zabrała znaczną część atrybucyj rządowych dla siebie. Organem, który je wykonywał, były sejmiki. Nie miały sejmiki od razu tak szerokiej władzy w swem ręku. Aż do wygaśnięcia dynastyi Jagiellońskiej były one tylko organem reprezentacyi: wybierały posłów na sejm i dawały im instrukcye; w zarządzie swojej ziemi szerszego nie miały udziału. Dopiero w trzech pierwszych, tak blisko po sobie następujących bezkrólewiach (1572, 1574, 1587), zbudziła się u nich dążność zagarnięcia rządu miejscowego i przyniosła daleko sięgające wyniki. Około połowy w. XVII istnieją już osobne podatki wojewódzkie, oso-

bny skarb wojewódzki i osobna jego administracya przez zależnych od sejmiku funkcyonaryuszów; istnieje, jednem słowem osobna skarbowość wojewódzka, która ze skarbowością państwową niejednokrotnie wchodzi w kolizyę. Istnieje dalej osobny żołnierz powiatowy, płatny ze skarbu wojewódzkiego, pod osobnymi rotmistrzami, przez sejmiki ustanawianymi, żołnierz, który nie jest bynajmniej milicyą dla potrzeb miejscowych stworzoną, ale składową częścią armii państwowej. Naczelnik centralnego zarządu skarbowego i wojskowego, podskarbi i hetman, musi zatem w tysiącznych razach znosić się i porozumiewać z sejmikiem, do jego zaściankowych skrupułów, z ujmą dla interesu ogólnego, częstokroć się stosować; musi, kiedy potrzeba działać spiesznie, poruszać z osobna kilkadziesiąt różnych kół, z których każde może mieć odmienny rozpęd i odmienny kierunek rozpędu. Nie można sobie wyobrazić struktury mechanizmu rządowego bardziej ociężałej nad tę, jaką stworzyły te rządy sejmikowe. A co w tem wszystkiem osobliwego, to samo urządzenie władz rządowych wojewódzkich. Nie są to władze jednostkowe, ani nawet kolegialne w zwykłem tego słowa znaczeniu, z kilku, choćby z kilkudziesięciu członków złożone, ale sejmik cały, wszystka szlachta ziemi, setki i tysiące ludzi, których powołanie do rządzenia zasadzało się na posiadaniu herbu! Zaprawdę, idea wszechwładzy szlachty nie mogła chyba znaleść dobitniejszego nad ten wyrazu dla siebie.

Źle było w Rzeczypospolitej, i nie mogło być gorzej. Nawet ci, którym z tem dobrze było, przyznawali, że jest w niej nierząd, a pocieszali się tem, że Polska nierządem stoi. Naprawdę, stała ona tylko ludźmi, których szczęśliwy traf dawał nam często w potrzebie, a którzy z zaparciem, poświęceniem, z nadludzkiem sił wytężeniem, ratowali skołataną nawę Rzeczypospolitej. Ale nie stać szczupłej garstce na pod-

trzymanie całego gmachu państwa, na zapełnienie tych wszystkich i tak wielkich szczerb, jakie się w jego organizmie potworzyły. Więc z postępem czasu wszystko się coraz więcej psuje i chyli do upadku: powstaje w kraju zamęt, rośnie samowola i lekceważenie praw, upada bezpieczeństwo publiczne, rozprzestrzenia się ciemnota umysłów i zepsucie charakterów, apatya dla sprawy publicznej i nikczemna prywata; przychodzi wpływ obcych i zależność od obcych, wstaje straszne widmo utraty bytu politycznego. Stoi Rzeczpospolita na krańcu przepaści; jeżeli ją ratować, to nie nadstawianiem karków, fortun i wysiłków jednostek, ale naprawą całości, przetworzeniem organizmu, wycięciem zeń wszystkich wrzodów, wypuszczeniem trującego jadu, który w nim krążył, wprowadzeniem nowych żywotnych soków. Nawołują o naprawę statyści: w wieku XVI wielki Frycz, Górnicki, natchniony Skarga; w pierwszych sześćdziesięciu latach XVIII wieku Karwicki, Garczyński, Leszczyński, Konarski, torując drogę całemu niezliczonemu zastępowi statystów późniejszych, a pośród nich największym, Kołłątajowi i Staszicowi. Ale nawoływania przez długi czas odbijają się bez dźwięku; »naród« żadnym przestrogom nie daje posłuchu, w procesie rozkładu społecznego i politycznego trwa uporczywie i coraz dalej rozwijać mu się pozwala. Dopiero kiedy przeminęły czasy saskie, szczyt polskiej anarchii i polskiego upadku, pojawiają się pierwsze odruchy budzącego się z odrętwienia organizmu, staje na sejmie konwokacyjnym 1764 r. reforma Czartoryskich, punkt zwrotny, od którego się rozpoczyna praca sejmów około naprawy Rzeczypospolitej. Potem, po strasznej katastrofie pierwszego rozbioru, staje druga, ważniejsza reforma na sejmie delegacyjnym z lat 1773—1775, uzupełniona postanowieniami sejmu z r. 1776. Następnie przez lat kilkanaście nic ważniejszego na sejmach się nie dzieje, a dokonuje się tylko cicho, powoli, stopniowo, wielkie odrodzenie narodu samego; budzą się nowe myśli i nowe dążenia, coraz szersze ogarniając warstwy, aż wreszcie groma-

dzi się ten nasz największy Sejm czteroletni, który dążeń tych miał być urzeczywistnieniem i wyrazem, któremu danem było stworzyć największe, jakie w historyi naszej mamy, dzieło reformy społecznej i politycznej — Konstytucyę Trzeciego Maja.

Cóż tedy i jak naprawiano przed sejmem czteroletnim? Zadanie było olbrzymie; trzeba było przebudować wszystko, od pierwszych podstaw organizacyi społecznej aż do najwyższych warstw układu politycznego. Nie można było zrobić wszystkiego od razu, trzeba było naprawiać częściowo. Ale od czego zacząć? Zasadniczo, logicznie rzecz biorąc, należało zacząć od reformy społecznej, albowiem w spaczonym ustroju społeczeństwa tkwi zarodek wszystkiego złego; zwichnięcie równowagi społecznej stało się w Polsce, jak widzieliśmy, powodem zwichnięcia równowagi politycznej. Ale reforma społeczna, właśnie dla tego, że miała sięgać najgłębiej, że wymagałaby poświęcenia najdroższych szlachcie przekonań, była najtrudniejszą do przeprowadzenia. Łatwiej już można było myśleć o reformie politycznej, a zwłaszcza o reformie rządu, tem bardziej, że brak rządu, anarchia, dawały się powszechnie odczuwać najdotkliwiej. Na ten punkt zwrócono też przedewszystkiem uwagę; zasadniczem hasłem tego okresu (1764—1788) jest naprawa rządu, mniej już naprawa innych czynników politycznych ustroju, a najmniej naprawa organizacyi społecznej.

W tym ostatnim względzie niewiele tedy zrobiono. Wobec chłopów w konstytucyi z r. 1768, zdobyto się zaledwie na przepis, odbierający panom *ius vitae ac necis* nad poddanymi i wzbraniający w ogóle zabójstwa chłopa pod karą śmierci — odbłysk humanitarnych tendencyj, jakie się podówczas w Europie zbudziły, krok niewątpliwie ku dobremu, ale praktycznie małej doniosłości. Życiu chłopa nie groziło nigdy wielkie niebezpieczeństwo ze strony pana, bo chłop był mu zawsze potrzebny jako siła robocza; zakaz orzekania kary śmierci i zabójstwa nie robił więc znacznego wyłomu w dotychczasowej praktyce. Ale została jurysdykcya

prywatna pana, została jego nieodpowiedzialność wobec chłopa przed prawem w innych sprawach, zostalo przywiązanie do gleby i straszny ciężar danin i pańszczyzn. Ten sam smutnej pamięci sejm repninowski z r. 1768 utrzymał wyraźnie »całość *dominii et proprietatis*« szlachty nad dobrami i poddanymi, i zasadę tę umieścił w rzędzie praw kardynalnych, wieczyście trwałych, nigdy nieodmiennych.

Niewiele zrobiono też w sprawie mieszczańskiej. Największe stosunkowo ulżenie przyniosła reforma Czartoryskich, naprzód przez zniesienie jurydyk szlacheckich w miastach, a zatem przez poddanie szlachty z dóbr miejskich pod sądownictwo miejskie, a następnie przez zniesienie wolności cłowej, przysługującej dotąd szlachcie, i usunięcie przez to niebezpiecznej konkurencyi, jaką dotąd handel zagraniczny kupiectwu miejscowemu robił. Konstytucya sejmu z r. 1775, stanowiąca, że zawód kupiecki utraty szlachectwa nie powoduje, była chyba tylko moralną korzyścią dla miast; praktycznej nie przyniosła, a owszem, mogła nawet stworzyć mieszczaństwu znaczniejszą konkurencję ze strony szlachty. Było to usunięcie granic, jakie dotąd rozdzielały sfery ekonomiczne obu stanów, ale na korzyść jednego tylko stanu, szlachty; nie usunięto równocześnie granicy, postawionej mieszczaństwu, nie dano mu prawa nabywania dóbr ziemskich; przeciwnie, na sejmie r. 1768 uznano wyłączne prawo szlachty do posiadania takich dóbr, i zasadę tę znowu do praw kardynalnych wpisano. O zniesieniu ucisku starostów, o wyzwoleniu rad miejskich z pod ich wpływu, nie pomyślano.

W sprawach wyznań znaczne ulepszenie przyniósł sejm repninowski. Przejście z wiary katolickiej na inną uznano za występek, ale dyssydentom zabezpieczono wolność wyznania i nabożeństwa, znosząc dawniejsze w tej mierze ograniczenia. Przyznano im nawet zdolność do wszystkich, choćby najwyższych dygnitarstw, i do wszelkich urzędów wybieralnych, a zatem także i do poselstwa sejmowego; jednakże w r. 1775 znaczną część tych praw zniesiono, stanowiąc, że

dyssydenci nie mogą należeć ani do senatu, ani funkcyj urzędników wielkich (ministrów) sprawować; w izbie poselskiej zaś może ich być tylko trzech, po jednym z każdej prowincyi (Małopolski, Wielkopolski, Litwy). Sprawy udziału episkopatu unickiego w senacie nie poruszono.

Kwestyi władzy prawodawczej dotknięto już na konwokacyi r. 1764 przez Czartoryskich, ale nie przeprowadzono nic innego, nad obszerny »porządek sejmowania«, który miał zaprowadzić ład w sposobie obradowania na sejmie; zasadniczej reformy »porządek« ten nie przyniósł żadnej. Reformę taką, na pozór w kierunku dodatnim, przeprowadził sejm repninowski z r. 1768; w rzeczywistości była ona rzeczą szkodliwą i niebezpieczną, prawdziwym darem Danaów. Sprawy, należące do sejmu, podzielono na trzy kategorye. Jednę kategorję stanowiły t. zw. prawa kardynalne, które ostatecznie na tymże sejmie sformułowano i jako wieczyście trwałe, przez żaden późniejszy sejm nieodmienne uznano. Drugą kategoryę stanowiły t. zw. materye *status*, które dyskusyi sejmów podlegać i uchwałami jego załatwianemi być mogły, ale zawsze tylko jednomyślnością, tak że *liberum veto* co do nich w pełni zostało utrzymane. Jako trzecią wreszcie kategoryę uznano materye jurydyczne i ekonomiczne, do których uchwalenia wystarczała większość głosów. Przyniósł więc ten sejm po raz pierwszy częściowe przynajmniej ograniczenie *liberi veto*, i w tem możnaby upatrywać dodatnią stronę jego reformy. Ale po bliższem wejrzeniu w rzecz trzeba powiedzieć, że korzyść jej była najmniejsza, a w reformie samej było wiele zasad, które najzgubniej na przyszłe losy Polski oddziałać mogły. Do rzędu *materiae status* policzono wszystkie najważniejsze i najdrażliwsze sprawy, o które dotąd najczęściej rozbijały się sejmy, jak: powiększenie lub ustanowienie nowych podatków, pomnożenie wojska, zwołanie pospolitego ruszenia, wypowiedzenie wojny i zawarcie pokoju, traktaty polityczne i handlowe, pomnożenie lub umniejszenie władzy urzędów lub kreowanie urzędów nowych, porządek sejmowania lub

sejmikowania, urządzenie trybunałów, i kilka innych jeszcze. Dla *liberum veto* pozostało zatem najszersze pole; głosowanie większością, ograniczone do rzeczy podrzędnych, nie obiecywało wielkiego pożytku. Dodatnia strona reformy leżała chyba w postanowieniu, że zerwanie sejmu przez *liberum veto* nie obala postanowień powziętych większością głosów, gdy przeciwnie dawniej niszczyło ono skuteczność wszystkich poprzednio na tym sejmie zapadłych uchwał, choćby nawet jednomyślnych. Ale co było w tej reformie najszkodliwszego, to »prawa kardynalne«. Utwierdziły one cały szereg najzgubniejszych zasad ustroju politycznego Polski: elekcyjność tronu, artykuł *de non praestanda obedientia, liberum veto* w materyach *status,* dwoistość rządu w Koronie i Litwie, nieodwołalność nadanych urzędów, a przez to także nieodpowiedzialność urzędników. Wszystko to po wieczne czasy miało obowiązywać w Polsce, nigdy nie mogło być zmienionem, a ktoby zmienić próbował, ten miał być uważany za nieprzyjaciela ojczyzny. Była to petryfikacya nierządu polskiego, taka, jaka właśnie leżała w interesie Rosyi, czynnościami tego sejmu kierującej.

Co do sejmików, jedno tylko postanowienie dodatniego znaczenia przytoczyć można z r. 1768: że nie mają one na przyszłość stanowić podatków, że więc znosi się skarbowość wojewódzka jako niepotrzebna zawada, stojąca na przeszkodzie sprężystemu działaniu centralnego zarządu skarbowego. Ale doniosłość tego postanowienia maleje wobec faktu, że jeszcze dawniej, a głównie od r. 1717, objawiła się pomiędzy samą szlachtą dążność do ograniczenia zarządu skarbowego sejmików i przyniosła nawet ważne zmiany w tym kierunku jeszcze przed rokiem 1768. Natomiast złą było rzeczą, iż sejm repninowski uświęcił i przypomniał dawną zasadę o udziale w sejmikach nietylko szlachty possesyonatów, ale także zastawników, dzierżawców, emfiteutów i dawnych familiantów województwa, a zatem przyznał wyraźnie udział całemu ciemnemu tłumowi szlacheckiemu, który

w historyi naszego sejmikowania tak smutną odegrał rolę. Wobec tego przepis, iż uchwały sejmikowe zapadać mają większością głosów, tracił prawie na znaczeniu, gdyż większość pozostawała zawsze po stronie tegoż tłumu.

Najważniejsze, jak już wspomnieliśmy, reformy, jakich w tym okresie dokonano, dotyczyły urządzenia władz wykonawczych. Powstają nowe magistratury, z nową, odmienną od dawniejszych organizacyą, dwie przedewszystkiem: Komisye wielkie i Rada Nieustająca; pierwsze zawdzięczają głównie początek swój uchwałom konwokacyi z roku 1764, druga postanowieniom sejmu z roku 1773. Na konwokacyi z r. 1764 przeprowadzili Czartoryscy ustanowienie trzech osobnych komisyj: komisyi skarbu koronnego, komisyi skarbu litewskiego i komisyi wojskowej koronnej; do nich przydano jeszcze na sejmie koronacyjnym 1764 r. komisyę wojskową litewską. Przelano na te komisye całą władzę, wykonywaną dotąd przez naczelników odnośnych gałęzi rządu państwowego, czyli ministrów, a zatem na komisye skarbowe funkcye podskarbich, na komisye wojskowe funkcye hetmanów. Tylko co do hetmanów zastrzeżono, że w czasie wojny naczelna komenda i rząd nad wojskiem ma im wyłącznie przysługiwać. Ministrom, jako takim, nie pozostała zatem żadna władza samoistna (z zaznaczonym poprzednio wyjątkiem co do hetmanów); uchwałom komisyi sprzeciwiać się nie mogli i wykonywać je mieli obowiązek. Pozostała im tylko prezydencya w komisyach. Uzyskano tedy rzecz ważną: złamano dotychczasową niezależność i samowładzę ministrów, i to był niewątpliwie najważniejszy motyw tej reformy. Ale ten cel byłby się dał uzyskać w inny sposób, bardziej prosty i odpowiedni: przez postawienie zasady odpowiedzialności ministrów samych. Taka zasada byłaby również zniszczyła ich samowładzę, a byłaby zapobiegła tym niedogodnościom, jakie z natury rzeczy przynieść musiało ze sobą wprowadzenie komisyj w system rządowy polski. Były bowiem komisye ciałem zbiorowem, a przez to bardziej ociężałem, powoli

działającem; nie dawały rękojmi, że w rzeczach, szybkiej wymagających akcyi, odpowiedzą natychmiast swojemu zadaniu. Ustanowiono ich odpowiedzialność wobec sejmu, ale ta odpowiedzialność ciała zbiorowego, rozłożona na poszczególne jednostki, nie mogła już być dla nich tak silnym popędem działania, jakby była dla władzy jednostkowej, w całości i wyłącznie odpowiedzialnej. Nadto te komisye sprawowały swe czynności tylko kadencyonalnie: co kwartał miały się gromadzić i przez miesiąc załatwiać przekazane sobie sprawy; nie było zatem zapewnionej ciągłości działania, tyle potrzebnej w każdym rządzie, zwłaszcza najwyższym. Nie było nadto ciągłości tradycyi rządowej, gdyż oprócz ministrów, którzy stale zasiadali, skład komisyi zmieniał się, albo przynajmniej zmieniać mógł co dwa lata; każdy sejm ordynaryjny dokonywał nowych wyborów komisarzy (czterech lub dwu z senatu, dwunastu lub siedmiu z izby poselskiej). Konsekwencya programu rządowego, stałe dążenie do raz wytkniętego celu i jego systematyczne przeprowadzenie, były zatem utrudnione. Ponadto była organizacya komisyj sankcyą dwoistości rządu, takiej samej, jaka istniała przedtem; osobno i niezależnie od siebie działać miały komisye koronne i litewskie. Wreszcie wprowadzenie komisyj stworzyło nowy wyłom w prawach naczelnego zwierzchnika rządu, króla. Miał dotąd król prawo nominacyi ministrów, a zatem możność obsadzania najwyższych magistratur rządowych według swego uznania i wyboru; prawo to pozostawiono mu wprawdzie nadal, ale całą władzę podskarbiowską i hetmańską przeniesiono na komisye, które wychodziły z wyborów sejmu. Przez to król pozbawiony został tych resztek wpływu, jaki mu dotąd pozostał na poszczególne gałęzie centralnego zarządu państwa; wpływ ten przeszedł na sejmy. Zasada bezpośredniej emanacyi czynników rządu z woli narodu i jej reprezentanta, sejmu, przezierająca bardzo dobitnie z dawniejszej historyi politycznego ustroju Polski, a i później niejednokrotnie występująca, oparta na nieufności do króla i dążeniu do najdalej sięgających ogra-

niczeń jego władzy, odniosła tedy nowy sukces. Pewnem złagodzeniem tej ostrości było postanowienie sejmu z r. 1766, że król ma prawo na każdy urząd komisarski przedstawić czterech kandydatów, z których sejm wybiera jednego; ale zasadniczo rzecz pozostała taką samą, jak przedtem: komisye zawdzięczały swą władzę wyborowi sejmu, były rodzajem wydziałów sejmowych do załatwiania spraw skarbowych i wojskowych. Ta okoliczność, łącznie z drugą, że komisye odpowiedzialne były tylko przed sejmem, nadała im najzupełniejszą niezawisłość wobec króla. Były więc na czele rządu dwie władze, zgoła się ze sobą nie stykające, każda samodzielnie, na własną rękę działająca. Każda z nich mogła wydawać polecenia do władz wykonawczych, do starostów, odmienne, a nawet sprzeczne ze sobą, i prócz dobrej woli, nie było żadnego środka, któryby takie sprzeczności łagodzić i usunąć potrafił. Leżała więc w tej organizacyi komisyj możność nowego rozprzężenia, nowej anarchii. Nie przetrwała zresztą w całości ta reforma Czartoryskich najbliższych czasów: utrzymały się tylko obie komisye skarbowe; wojskowe już na sejmie z r. 1768 ograniczone zostały znacznie na korzyść władzy hetmańskiej, a wreszcie w r. 1776 stanowczo uchylone.

Do szeregu tych komisyj przybyła na sejmie z r. 1773—1775 nowa komisya edukacyjna, z ośmiu delegatów, po czterech z senatu i izby poselskiej złożona. Zorganizowana w zasadzie na wzór komisyj dawniejszych, przedstawiała te same, co i one, wady i niedostatki. Miała jednak inne zalety, które tworzenie tej komisyi do rzędu najszczęśliwszych pomysłów zaliczyć każą. Ważnem było już postanowienie, że komisarze wybierani są na lat sześć, wobec czego ciągłość i konsekwencya akcyi tej władzy znalazły korzystniejsze dla siebie warunki. Ważniejszą jeszcze była zasada druga: że komisya rozciąga swą działalność na obie prowincye; była to pierwsza próba stworzenia centralnej władzy rządowej, obejmującej zakresem działania Koronę i Litwę. Wreszcie była

ta komisya organem całkiem nowym w rządzie polskim; wojskowa i skarbowa przejęły tylko na siebie funkcye, które poprzednio wykonywali inni urzędnicy; dla spraw wychowania nie było dotąd żadnej w rządzie naszym władzy centralnej, stała się nią po raz pierwszy komisya edukacyjna. Jak była potrzebną, wiadomo, a ile przyniosła dobrego, przypominać nie potrzeba.

Najgłębiej sięgającą reformą rządową z tego czasu było ustanowienie Rady Nieustającej na sejmie z r. 1773/5. Tłómaczono w konstytucyi, że to jest tylko przetwór i dalszy ciąg dawniejszej Rady przybocznej królewskiej; w rzeczywistości była to instytucya całkiem nowa, na odmiennych z gruntu zorganizowana zasadach. Jak sejm, tak i ona miała się składać z trzech stanów: króla, reprezentantów senatu i izby poselskiej, wybieralnych (prócz króla) na każdym sejmie ordynaryjnym co dwa lata. Była więc Rada Nieustająca tak dobrze wydziałem sejmowym, do prowadzenia rządu wyznaczonym, jak nim były komisye. Była nim nawet w wyższym stopniu, aniżeli komisye. W komisyach (wojskowej i skarbowej) zasiadali ministrowie z mocy urzędowego swego stanowiska, byli członkami ich bez wyboru sejmowego; tutaj zasiadali tylko z mocy takiegoż wyboru. Było w Polsce, jak wiadomo, po kilku ministrów w każdej gałęzi rządu, było czterech podskarbich (wielki i nadworny, koronni i litewscy), czterech hetmanów (wielki i polny, koronni i litewscy), czterech kanclerzy (kanclerz i podkanclerzy, koronni i litewscy), czterech marszałków (wielki i nadworny, koronni i litewscy). Otóż nie każdy z tych ministrów należał do Rady Nieustającej, ale tylko ci, których z pośród nich wybrano na sejmie, w liczbie czterech, po jednym z każdej dykasteryi. Prócz ministrów wchodziło do Rady nadto czternastu innych senatorów, pośród nich trzech biskupów, a za wolą sejmu jeszcze dwu ministrów, w tem drugi kanclerz, nadto zaś 18 deputatów ze stanu rycerskiego, pośród nich jeden marszałek Rady Nieustającej. Razem tedy, prócz króla, komplet Rady liczył 36

osób. Funkcye Rady były dwojakiego rodzaju, bądź to *in pleno,* w którym to razie wszyscy członkowie udział w jej obradach brali, bądź też w poszczególnych departamentach, na które się rozpadala. Departamentów takich stworzono pięć: departament interesów cudzoziemskich, policyi, wojskowy, skarbowy i sprawiedliwości, każdy z ośmiu członków złożony, prócz departamentu interesów cudzoziemskich, który składał się z czterech członków. W departamentach prezydowali wybrani do Rady ministrowie, a to w departamencie interesów cudzoziemskich kanclerz, w departamencie policyi marszałek, w wojskowym hetman, w skarbowym podskarbi, w departamencie sprawiedliwości inny kanclerz; na Radzie pełnej prezydował sam król. Miała Rada Nieustająca, zarówno jako całość, jako też i w poszczgólnych departamentach, pierworodny grzech każdej polskiej instytucyi rządowej: zbiorowość, załatwianie wszelkich spraw sposobem uchwał, a stąd ociężałość w działaniu. Miała także inną wadę: nietrwałość, skutkiem powtarzających się co dwa lata wyborów sejmowych — okoliczność, którą łagodził jednak przepis, że jedna trzecia część członków Rady dawniejszej ma być przez sejm wybraną na następne dwulecie. Najważniejszą jednak stroną ujemną nowej organizacyi było, że ogołociła króla z resztek władzy rządowej, jaką dotąd posiadał. Mniejsza już o to, że mu ograniczono dystrybutę urzędów, stanowiąc, iż na przyszłość urzędników mianować winien z pośród trzech kandydatów przedstawionych przez Radę. Ważniejszą była rzecz inna. Jak minister w swoim departamencie obowiązany był wykonać to, co uchwali większość departamentu, tak król miał obowiązek poddać się temu, co postanowi większość pełnej Rady; tylko w razie równości głosów, głos jego, ważący dwie kreski, rozstrzygał. Zeszedł więc król do znaczenia prezydenta Rady Nieustającej, samoistną władzę monarszą w rządzie stanowczo utracił.

Przyniosło jednakowoż ustanowienie Rady niewątpliwe korzyści, a mianowicie dwie najważniejsze. Powstały prze-

dewszystkiem instytucye centralne, rozciągające swą władzę na obie prowincye, na Koronę i Litwę. Po raz pierwszy to dopiero udało się w pełni urzeczywistnić myśl, której brak stanowił istotny i najważniejszy defekt Unii lubelskiej: jednolitość rządu w obu prowincyach, scentralizowanie wszystkich nici administracyi państwowej w jednem wspólnem źródle. Dalsza zaleta reformy polegała na tem, że po części już w roku 1773 przy samej organizacyi Rady, a bardziej jeszcze, całkiem stanowczo i bez żadnych wyjątków, na sejmie z r. 1776, orzeczono podległość wszystkich urzędów wykonawczych, nie wyłączając nawet wielkich komisyj, pod rozkazy Rady — zarazem zaś obowiązek wykonywania jej poleceń pod karą usunięcia od urzędu. Runęła tedy zgubna zasada nieodpowiedzialności urzędników, powstała możność prawidłowego funkcyonowania rządu. Po dwu przeszło wiekach Polska dostała nareszcie rząd, którego przedtem nie miała; że w nim znaczenie króla obniżone zostało prawie do zera, nad tem trzeba ubolewać, ale sam fakt wprowadzenia rządu, jakimkolwiek on był, powitać należy z uznaniem.

Reformowano więc wiele i w rozlicznych kierunkach; istniejącym brakom starano się zapobiec wedle możności i według najlepszego rozumienia o rzeczy. Nie zawsze znachodzono wyjście trafne i skuteczne; usuwano instytucyę złą, zasadę szkodliwą, i stawiano w jej miejsce inną; ale ta nowa rzecz, jaką stworzono, lepsza od dawniejszej w jednym względzie, przedstawiała inne usterki i wady. Były to pierwsze, niepewne próby trzeźwiejącego narodu, który wiedział, że trzeba iść inną niż dawniej drogą i nowej dla siebie drogi szukał, ale nie zawsze ją umiał trafnie odszukać, ani też odszukawszy, pewnym po niej stąpać krokiem. Miały te próby inną jeszcze stronę ujemną. Zbliżano się do ran, jakie tkwiły w organizmie naszym, z różnych stron, i sta-

rano się je uleczyć, ale nie wszystkie dostrzeżono od razu i nie na wszystkie znalazły się zaraz środki; naprawiano więc częściowo tylko i bez jednolicie obmyślanego planu, więcej dorywczo, aniżeli systematycznie; zwrócono się przedewszystkiem do tego, co się najbardziej jątrzyło i na oko najwięcej uderzało: do organizacyi rządu; mniej już do tego, co tkwiło głębiej, choć to było właśnie przyczyną wszystkiego złego. Była więc ta naprawa tylko tymczasowym środkiem zaradczym, i nie mogła być niczem więcej; wielkie zadanie gruntownej, we wszystkie szczegóły ustroju Rzeczypospolitej sięgającej reformy, nie zostało jeszcze spełnionem. Ale był to już w każdym razie zwrot ku lepszemu, pobudka i zachęta do dalszej, głębiej idącej naprawy, konieczne jej przygotowanie i szczęśliwa zapowiedź.

Zapowiedź spełniła się. Stanęła Konstytucya Trzeciego Maja, dokonana przez czteroletni sejm. Na początku sejmu była jeszcze rzeczą nieprzewidzianą. Gromadzono się na obrady głównie w tym celu, ażeby dokonać aukcyi wojska i załatwić inne sprawy bieżące; możliwości innych, tak daleko sięgających reform, nie przypuszczano, owszem, wiążąc się w konfederacyę, opisano się przy istniejących prawach i instytucyach rządowych, prócz jednej tylko Rady Nieustającej, którą dla wpływu, jaki na nią wywierała ambasada rosyjska, znienawidzono i wnet (19 stycznia 1789 r.) uchylono. Ale te dwie sprawy, uchwalenie komputu wojska do 100.000 i zniesienie Rady, obie rzeczy dokonane w początkach sejmu, pociągały za sobą ważne następstwa: dla wojska trzeba było reformować system podatkowy, w miejsce Rady trzeba było utworzyć nowy rząd. Praca nad temi reformami dotknęła szeregu innych pytań i objęła niebawem kwestyę całej organizacyi społecznej i politycznej Polski. Na razie załatwiano tylko sprawy szczegółowe, ale czasem najważniejsze. Z końcem marca 1789 r. stanęła uchwała o ofierze dziesiątego grosza, t. j. o podatku nałożonym na dobra dziedziczne szlachty, i złamała przez to odwieczną wol-

ność podatkową szlachty. W listopadzie tegoż roku wprowadzono, naprzód na Litwie, a potem w Koronie, Komisye porządkowe cywilno-wojskowe, które jako władze wybieralne i kollegialne, nie były wprawdzie instytucyą doskonałą, ale tworzyły bądź co bądź władze administracyjne powiatowe żywiej funkcyonujące, jakich zdawna Polsce brakowało, i które w rzeczywistości w ciągu krótkiego czasu swego istnienia wiele dobrego w administracyi miejscowej zdziałały; z końcem lipca 1790 r. przyznano wreszcie metropolicie kijowskiemu krzesło w senacie, i przez to klerowi unickiemu zapewniono reprezentacyę w sejmie. Prócz tego wyznaczono komisye i deputacye do ułożenia projektów w sprawie reformy całego ustroju Rzeczypospolitej, i projekty te wielokrotnie dyskutowano lub częściowo uchwalano; pomyślna chwilowo konstelacya polityczna pozwalała pracę prowadzić dalej, a kiedy się zmieniła na niekorzyść, przyspieszyła przez to dokonanie dzieła reformy. Tak więc między tem, co pierwotnie leżało w zadaniach Sejmu czteroletniego, a tem, czego dokonał, jest pewna niestosunkowość. Konstytucya Trzeciego Maja jest z tego punktu widzenia niespodzianką. Ale nie jest nią z innego względu. Poczęło się już dawniej odrodzenie narodu, i coraz szersze z biegiem czasu obejmowało warstwy; zrozumienie wad ustroju Rzeczypospolitej stawało się coraz powszechniejszem i coraz powszechniejszem było poczucie potrzeby zasadniczej ich naprawy; nie było też przypadkiem, że na sejmie znalazła się wielka ilość ludzi, hołdujących temu nowemu prądowi. Trzeba było tylko sposobności, ażeby tłumione dotąd myśli i dążenia powołać do akcyi, a sposobność po temu znalazła się właśnie na sejmie. Nowe, wielkie siły, jakie się w narodzie zbudziły, znalazły nareszcie możność tworzenia. Stworzyły rzecz najpiękniejszą i najdoskonalszą, jaką życie nasze polityczne trzech ostatnich wieków poszczycić się może.

W jedenastu rozdziałach określiła Konstytucja najważniejsze zasady ustroju Rzeczypospolitej. Z tych niektóre nie

mają znaczenia daleko sięgającej reformy. Artykuł pierwszy o religii, uznający religię katolicką jako panującą, wzbraniający przejścia z katolicyzmu na inne wyznanie pod karami apostazyi, zapewniający pokój w wierze i opiekę prawa innym wyznaniom według ustaw krajowych, t. j. dawniejszych, jest właściwie utwierdzeniem istniejącego poprzednio stanu rzeczy, takiego, jaki się w ostatnich czasach wytworzył. Artykuł ósmy o władzy sądowniczej, utrzymuje istniejącą dotąd organizacyę sądową w pełni; najważniejszem jego postanowieniem jest zapowiedź nowego kodeksu cywilnego i kryminalnego, który zapełnić miał dotkliwą bardzo lukę naszego sądownictwa, położyć kres niepewności stosunków prawnych i dowolności sędziów. Artykuł jedenasty, o sile zbrojnej narodowej, nie dotyczy właściwie organizacyi wojskowości samej; wypowiada tylko dwie zasadnicze normy, największej zresztą doniosłości, zostające jednak w związku z innemi sprawami, o których wspomnimy później. Główny nacisk kładzie konstytucya na trzy sprawy, i tutaj (rozdz. II—VII) najważniejsze przeprowadza reformy. Są niemi: organizacya społeczna, organizacya władzy prawodawczej i organizacya najwyższej władzy wykonawczej.

Szlachcie zapewnia »wszystkie swobody, wolności, prerogatywy pierwszeństwa w życiu prywatnem i publicznem«, zatwierdza jej wszystkie przez królów nadane przywileje, od Kazimierza W. począwszy, aż do ostatniego Jagiellona: godność stanu szlacheckiego za równą wszelkim stopniom szlachectwa, gdziekolwiek indziej używanym, uznaje; równość szlachecką zabezpiecza, wolność osobistą i bezpieczeństwo własności poręcza. Dawne, najistotniejsze prawa szlachty zostawia tedy nienaruszone w niczem. Ale uznaje także, w mniejszym co prawda zakresie, prawa innych stanów, mieszczaństwa i chłopów.

Według ustawy o miastach z 18 kwietnia 1791 roku, uznanej za część składową konstytucyi, nie ma różnicy zawodów pomiędzy szlachtą a mieszczaństwem. W miastach

nie tylko mieszczanie, ale i szlachta mogą się trudnić handlem; szlachcic jednak, który mierzy łokciem i kwartą, szlachectwa z tego powodu nie traci. Na odwrót, mieszczanom wolno nabywać dobra ziemskie i oddać się w ten sposób zawodowi rolnika. Prysla więc odwieczna zapora, dzieląca sfery ekonomicznych zajęć obu klas społecznych; przynależność do pewnego stanu nie miała na przyszłość tamować swobody ruchu w dziedzinie gospodarczej. Porównując mieszczan ze szlachtą pod względem ekonomicznym, dając im nadto takież samo jak szlachcie prawo *neminem captivabimus*, utrzymano jednak dawniejszy rozdział w sprawie dostępu do urzędów ziemskich i państwowych; te zastrzeżone zostały dla szlachty z małymi tylko wyjątkami, jako to, że mieszczanie mają przystęp do funkcyj kancelaryjnych i dosługiwać się mogą stopni regentów; przyznano im także wstęp do palestry sądowej, jak niemniej do komisyj porządkowych cywilno-wojskowych, w których zapewniono udział trzem delegatom miejskim. Również dozwolono mieszczanom wstępować do wojska (z wyjątkiem kawaleryi narodowej) i dosługiwać się tamże rang oficerskich. Ale co do godności duchownych pozostało jak przedtem: prócz kanonij doktoralnych, żadne inne kanonie w katedrach nie stały otworem dla mieszczan; tylko w kollegiatach przyznano im możność uzyskania wszelkich kanonij i prelatur, jak niemniej w ogóle wszystkich niższych beneficyów świeckich i zakonnych, o ile szczególnemi postanowieniami fundacyjnemi nie były zastrzeżone dla szlachty.

Nie ustąpiono więc w tym względzie mieszczaństwu wszystkiego; nie tu też leży punkt ciężkości reformy miejskiej. Najważniejsze jej postanowienia dotyczą wewnętrznej organizacyi miast. Każdy, kto się w mieście osiedli, tamże posiadłość miejską nabędzie lub handel założy, czy to mieszczanin czy szlachcic, krajowiec czy cudzoziemiec, obowiązany jest przyjąć »miejskie«; to zaś przyjęcie »miejskiego« obowiązuje go do podległości władzom miejskim, do spełniania obowiązków miejskich. Zniesione jurydyki, wyłączenie szlachty

z pod sądownictwa miejskiego, wolność jej od podatków miejskich. Rząd miasta ma więc pełną władzę nad wszystkimi obywatelami, nikt się z pod tej władzy wyłamywać, nikt jej działania paraliżować nie może. Jak zaś nie ma wyłączeń dla osób, tak też nie ma z drugiej strony ingerencyi władz obcych w rząd miasta. Zniesiona władza starosty, wzbronione sądom ziemskim i grodzkim wszelkie wykonywanie jurysdykcyi w sprawach miejskich. Podlega tylko rząd miasta zwierzchnictwu komisyi policyi, naczelnej władzy administracyjnej w państwie, a i w tej komisyi stan miejski przez plenipotentów swoich ma zapewnioną reprezentacyę i ochronę swoich interesów. Teraz dopiero znalazły się warunki, wśród których rząd miejski rozwinąć mógł sprężystą działalność, nad porządkiem i podniesieniem miast skutecznie, a bez przeszkody pracować. Dla urzeczywistnienia tych celów mają władze miejskie prawo czynić rozporządzenia w sprawach wewnętrznego zarządu, z obowiązkiem zdawania o nich raportu przed komisyą policyi.

Są w ogóle dwie władze w miastach, administracyjna i sądownicza, rada miejska i sąd miejski (magistrat), obie wychodzące z wolnego wyboru mieszczan. Prawo wyboru i wybieralności przysługuje mieszczanom, mającym posesyę miejską, dziedziczną; niema zatem zupełnego pod tym względem równouprawnienia wszystkich między sobą: jest cenzus niejako majątkowy, ale jest dana gwarancya, że rządy miasta spoczną w ręku najstateczniejszych żywiołów. O urządzeniu rad miejskich ustawa z 18 kwietnia bliższych szczegółów nie zawiera, natomiast szczegółowo urządza tok instancyj sądowych. Instancyą pierwszą jest magistrat miejski, instancyą drugą sąd apelacyjny; sądów takich jest w Małopolsce 7, w Wielkopolsce 7, na Litwie 6, w najważniejszych miastach, każdy ze ściśle oznaczonym zakresem terytoryalnym. Do tych sądów apelacyjnych obiera każde z oznaczonych miast co dwa lata po pięć osób z pośród mieszczan. Trzecią wreszcie instancyę stanowią sądy asesorskie. W miarę

ważności i wartości spraw określono kompetencyę poszczególnych instancyj. Była to nowa zdobycz dla miast, gdyż sądy w obu pierwszych instancyach były wyłącznie mieszczańskie, w trzeciej, asesoryi, miasta miały zapewnioną reprezentacyę przez swoich plenipotentów. Samoistność sądownictwa miejskiego, dawniej zachwiana i złamana, została przywróconą napowrót.

W sejmie mieszczaństwo reprezentantów w ścisłem tego słowa znaczeniu nie ma. Nie stworzono ani osobnej izby posłów miejskich, ani też do izby posłów ziemskich mieszczan nie dopuszczono. Ale stworzono rzecz inną, instytucyę plenipotentów miejskich, która do pewnego stopnia potrzebom miast w tym względzie czyniła zadość. Każde z miast apelacyjnych miało przed każdym sejmem wybierać co dwa lata jednego plenipotenta, razem 20. Z pośród nich, na sesyach prowincyonalnych sejmu, wybierać należało członków do komisyi policyi i komisyi skarbu, najwyżej po dwu z każdej prowincyi (Małopolski, Wielkopolski i Litwy), do asesoryi najwyżej po trzech z każdej prowincyi. W pomyślnym razie było zatem w obu komisyach po sześciu reprezentantów miejskich, w asesoryi dziewięciu. Ci plenipotenci w rzeczach dotyczących miast i handlu mieli w komisyach głos stanowczy, w innych sprawach doradczy. Była to więc już ważna korzyść dla miast, zdobyły sobie bowiem znaczny udział w kilku wyższych magistraturach państwowych. Nadto tym plenipotentom dozwolono przedstawiać w sejmie wnioski i żądania w imieniu miast; była zatem dana sposobność zwrócenia przynajmniej uwagi sejmu na ich potrzeby, przestrzeżenia go przed błędnymi w tej mierze krokami.

Wątpliwą wartość miało inne postanowienie ustawy z 18 kwietnia: o nobilitacyach. Włożono na sejm obowiązek nobilitowania wszystkich plenipotentów miejskich, którzy przez dwa lata zasiadali w asesoryi i komisyach, wszystkich mieszczan, którzy dosłużyli się rangi sztabskapitana lub kapitana chorągwi w wojsku, wszystkich, którzy doszli

do stopnia regenta, wszystkich, którzy nabyli posiadłość ziemską, opłacającą 200 zł. podatku dziesiątego grosza; nadto jeszcze na każdym sejmie należało nobilitować 30 mieszczan z pośród tych, którzy położyli zasługi przez założenie i prowadzenie handlu lub przemysłu na większą skalę. Nie był to środek podniesienia mieszczaństwa, wzmożenia go w siłę i znaczenie, wszystkie bowiem jego najlepsze i najtęższe elementy miały być peryodycznie, w znacznej ilości, wchłaniane przez szlachtę. Był to raczej środek zasilania i odradzania szlachty, z punktu widzenia szlacheckiego korzystny i rozumny.

Ustawa z 18 kwietnia tyczyła się właściwie jednej tylko grupy miast, t. j. miast królewskich; nie dotknęła miast prywatnych i dotknąć ich nie mogła, byłaby bowiem naruszyła nabyte prawa dziedziców. Ostatecznie nie była to jednak zbytnia luka w konstytucyi. Do miast królewskich liczyły się wszystkie niemal ważniejsze miasta w Rzeczypospolitej; miasta prywatne, jeżeli nawet kiedyś kwitły, zniszczały bardzo skutkiem długowiekowego ucisku panów, jaki na nich ciężył, zeszły prawie bez wyjątku do znaczenia osad, mało różniących się od wsi. Dla nich organizacya autonomiczna, jaką wprowadzono w miastach królewskich, była zatem przedwczesną, niepotrzebną, a nawet niebezpieczną. A jednak jest w tej ustawie widoczny ślad, że o tych miastach nie zapomniano, owszem, o podniesieniu ich myślano. Nie mogło ulegać wątpliwości, że miasta wolne po pewnym czasie, skutkiem przyznanej sobie pełnej autonomii, byłyby się musiały podnieść i zakwitnąć. To mogło, jak łatwo przewidzieć, wywołać pośród właścicieli prywatnych pewne współzawodnictwo, a zarazem dążność do nadania swoim miastom takiejże samej autonomii, stworzenia takich samych dla ich rozwoju warunków. Cóż tedy stanowi ustawa? Oto uprzedza ona tę dążność właścicieli i postanawia, że na żądanie pana król ma wydać takiemu miastu odpowiedni dyplomat erekcyjny —

a przez to dla dalszego rozwoju miast w Polsce szerokie otwiera horyzonty.

W sprawie chłopskiej, dwie były rzeczy możliwe do zrobienia: usamowolnienie ekonomiczne i usamowolnienie prawne. Usamowolnienia ekonomicznego konstytucya nie przeprowadziła i spotykała się z tego powodu niejednokrotnie z zarzutami — najniesłuszniej. Pańszczyzna i czynsz kmiecy stały się ilościami majątkowemi, główną pozycyą, która o wartości dóbr stanowiła, regulatorem ceny w obrocie zamiennym nieruchomości, nabytem prawem prywatnem, które każde ustawodawstwo uznać musi. Znieść je za indemnizacyą — na ten pomysł nie zdobyto się wówczas jeszcze nigdzie, a najmniej można się nań było zdobyć w Polsce, gdzie skarb był ubogi i najpierwszym potrzebom państwa prawie nie mógł wystarczyć. Znieść je bez indemnizacyi, znaczyło to sprowadzić powszechną ruinę ekonomiczną. Nie można było zatem uchylić wyraźnie ani pańszczyzny, ani czynszów, ani co za tem szło, przywiązania kmiecia do gleby. Nie bez wyraźnej jednak intencyi konstytucya sprawę tę pomija milczeniem, a natomiast stanowi, że odtąd wszelkie umowy, jakie stanęły lub staną pomiędzy panami a włościanami, mają stanowić podstawę wzajemnego ich stosunku, dziedzicznie na następców przechodzącego, przez obie strony ściśle dotrzymywanego. Nastał niedawno przedtem w Polsce zwyczaj, co prawda, sporadycznie na razie pojawiający się, że panowie, uczuciem ludzkości wiedzeni, zwalniali chłopów swych dobrowolnie od poddaństwa, a natomiast wchodzili z nimi w umowy, w których obowiązki chłopskie ściśle i zazwyczaj o wiele łagodniej niż przedtem były określane. Do tej świeżo kiełkującej nowości nawiązuje konstytucya i o niej wyłącznie mówi, a przez to samo wskazuje na nią jako na zasadniczą normę urządzenia stosunków wzajemnych pomiędzy panem a chłopem. Było to tak samo, jak co do miast prywatnych, otwarcie szerokiego widnokręgu dla rozwoju sprawy chłopskiej w przyszłości. Takie umowy nie byłyby jeszcze

uwłaszczeniem chłopa, ale byłyby niewątpliwie znacznem złagodzeniem poddaństwa, tamą wszelkiej samowoli pańskiej, a zarazem środkiem polepszenia bytu materyalnego chłopa. W myśl tej zasady postanowiono też, że tam, gdzie niema poprzednio istniejącego poddaństwa, gdzie nie wchodzi w grę sprawiedliwy interes majątkowy właścicieli, niema mowy o zawiązaniu na nowo stosunku poddańczego: przeciwnie, ktokolwiek przybędzie z obczyzny do Polski, czy to cudzoziemiec, czy wychodźca obecnie powracający, ten ma być uważany za wolnego, a jeśli się osiedli na gruncie chłopskim, podstawą jego powinności będzie umowa z panem. Zrobiono więc wszystko, co tylko zrobić się dało; inne załatwienie strony ekonomicznej sprawy chłopskiej było niemożliwe. Druga strona tej sprawy została jeszcze pomyślniej rozstrzygnięta. Postanowiono, że chłop ma zostawać pod opieką prawa. Zwrotu tego bliżej nie określono, ale niepodobna go rozumieć inaczej, jak tylko w ten sposób, że chłop o swoje krzywdy upomnieć się może przed sądem publicznym, choćby nawet chodziło o sprawę przeciwko jego panu. Tak też rozumieli ten ustęp ci, którzy w ułożeniu konstytucyi najbliższy brali udział. Było to postanowienie nieobliczalnej dla chłopów doniosłości, stawiało bowiem tamę nieograniczonej samowoli panów, a zarazem dawało chłopom większą wobec nich niezawisłość.

Taką jest treść reformy społecznej w Konstytucyi Trzeciego Maja. Ma ona jeden rys charakterystyczny, na który nie można dosyć położyć nacisku: że nie zrywa z zasadą stanowości. Jak dawniej, tak i teraz społeczeństwo rozpadać się ma na osobne grupy, klasy, z których każda stanowi osobną całość dla siebie, odrębnych w porównaniu z innemi używa praw i przywilejów. Konstytucya granic i różnic stanowych nie usuwa, równouprawnienia wszystkich wobec prawa nie przeprowadza, nowych prądów, jakie się zbudziły na Zachodzie i w »prawach człowieka« wyraz dla siebie znalazły, nie uwzględnia. Co większa, w tej klasyfikacyi

stanowej, z dawna utrzymanej, na pierwszym planie stawia interes szlachty: jej przyznaje najdalej sięgające prawa, zasila ją najlepszymi elementami z pośród mieszczaństwa, jej zastrzega wyłączny udział w sejmie, a przeważny w rządzie: nadając prawa mieszczanom, oświadcza, że ten nowy porządek rzeczy »wolnej szlachcie polskiej dla bezpieczeństwa i całości wspólnej ojczyzny« daje siłę; dolę chłopów poprawiając, podnosi, że waruje mimo to »dziedziców przy wszelkich pożytkach od włościan im służących«, szlachtę za najpierwszych obrońców wolności narodu i konstytucyi samej ogłasza. Czy była przez to wszystko złą ta konstytucya? Bynajmniej. Przez kilka wieków przedtem rządziła się Polska zasadą wyłączności szlacheckiej, był w niej właściwie jeden tylko stan uprawniony, inne były zgoła upośledzone. Po takim precedensie zasada powszechnego równouprawnienia byłaby anomalią logiczną i praktyczną niemożliwością. Konstytucya byłaby pozostała tylko szeregiem pięknych zasad, spisanych na papierze, które nie byłyby zdołały wejść w życie. Naród-szlachta, choć się już znacznie podniósł w ostatnich czasach, nie otrząsł się jednak dostatecznie z swoich idei szlacheckich, nie był na tyle dojrzałym, aby zasadę równouprawnienia zrozumieć, odczuć i w życiu przeprowadzić. A co ważniejsza, nie były po temu dojrzałe dwa inne stany. Po kilku wiekach ciężkiej niewoli, upośledzenia i ciemnoty chłopstwa, ruiny, upośledzenia i apatyi mieszczaństwa, nadanie pełni praw obywatelskich obu tym stanom byłoby eksperymentem najniebezpieczniejszym i najzgubniejszym; praw tych nie byłyby one potrafiły odpowiednio użyć, byłyby ich zdołały chyba nadużyć, ze szkodą dla siebie i całości. Poszła więc konstytucya drogą pośrednią, i musiała nią pójść; że zaś tak a nie inaczej uczyniła, w tem leży dowód jej dojrzałości i najlepszy probierz wartości; stanów nie zrównała ze sobą, ale te, które dotąd były upośledzone, podniosła, stworzyła dla każdego z nich sferę swobodnej akcyi, taką przynajmniej, jaka w danych warunkach możli-

wą była do stworzenia: miastom dała swobodę i autonomię akcyi ekonomicznej, chłopom polepszyła materyalne warunki bytu i wzięła ich pod opiekę prawa: obu klasom otworzyła widoki lepszej jeszcze przyszłości. Stworzyła więc stan rzeczy, który w późniejszych dziejach Polski, gdyby się mogły były dalej samoistnie rozwijać, byłby otrzymał nazwę stanu przejściowego; ale taki stan przejściowy był w Polsce koniecznym i nieodzownym warunkiem dla przygotowania nowożytnych form życia społecznego. Niemniej przeto była reformą sięgającą najgłębiej, była stanowczem złamaniem wyłączności szlacheckiej i uprawnieniem stanów innych; była wielką ewolucyą społeczną, taką samą co do siły i znaczenia, jaka się dokonała pod koniec XV i w początkach XVI wieku, ale w przeciwnym, dodatnim kierunku. Nie dając zaś równouprawnienia pod względem prawnym, wskazała przynajmniej ideał jego w sferze etycznej. Lud wiejski nazwała najdzielniejszą kraju siłą, bogactw krajowych źródłem, naród cały, nie w dawnem już, szlacheckiem tego słowa znaczeniu, obrońcą całości i swobód ojczyzny ogłosiła. Zatknęła sztandar uobywatelenia całego narodu, na razie jako ideę, na przyszłość jako program do spełnienia.

Władza prawodawcza, sejm, pozostała co do składu swego taką samą, jaką była poprzednio. Miała dwie izby, wyższą, senatorską, i niższą, poselską. Był więc sejm, jak przedtem, instytucyą ściśle szlachecką, z przedstawicieli szlachty większej i mniejszej, duchownej i świeckiej złożoną. Miasta, jak widzieliśmy, posłów do sejmu nie wysyłały, a tylko przez plenipotentów z komisyj przedstawienia w nich swoje czynić mogły. W tym więc względzie innowacyi nie było. Była ona w innych kierunkach, a przedewszystkiem w określeniu wzajemnego stosunku obu izb sejmowych do siebie. Był dawniej senat czynnikiem równorzędnym z izbą poselską w sejmie; projekt, który się miał stać ustawą, wymagał przyjęcia przez obie izby (i przez króla). W konstytucyi rzecz tę inaczej rozstrzygnięto. Podzielono wszystkie

w ogóle sprawy sejmowe na dwie grupy, z których jedną nazwano prawami ogólnemi, drugą uchwałami sejmowemi. Do praw ogólnych zaliczono prawa konstytucyjne, cywilne, kryminalne, tudzież ustawy wprowadzające nowe, wieczyste podatki; do uchwał sejmowych wszelkie inne sprawy, jak między innemi: uchwała wojny, zawarcia pokoju lub w ogóle traktatów międzynarodowych, uchwała podatków doczasowych, uchwała budżetu, zaciągnięcie pożyczki państwowej, nobilitacye i inne nagrody i t. p. W miarę różnicy spraw odmienny przepisano sposób ich załatwiania. Uchwała sejmowa przychodziła do skutku, jeżeli liczba głosów, oddanych za nią w obu izbach, razem dodana, stanowiła większość. Już w tego rodzaju sprawach izba poselska miała zapewnioną dla siebie przewagę, gdyż komplet jej głosów wynosił 177 przeciwko 136 głosom senatorskim (licząc w to już dwie kreski królewskie). Mieli zatem posłowie możność majoryzowania senatu w każdej tego rodzaju sprawie. Co do praw ogólnych, zliczania głosów nie było. Prawo takie uchwalała właściwie sama izba poselska większością głosów; senat mógł się wprawdzie uchwale sprzeciwić, ale tylko prowizorycznie; jeżeli na następnym sejmie izba poselska ponownie prawo uchwaliła, opór senatu był bez skutku: nabierało ono mocy obowiązującej. Tak więc stanowisko senatu wobec izby poselskiej zmieniło się zasadniczo: z czynnika współrzędnego organizacyi sejmowej stał się czynnikiem podrzędnym, nie miał możności zapobieżenia ustawie, którą uważał za niebezpieczną lub szkodliwą. Czy to było rzeczą dobrą i pożyteczną? Niewątpliwie w czasach dawniejszych zrobiono wiele smutnych doświadczeń na możnowładztwie polskiem, a i teraz, w chwili spisywania konstytucyi, były w niem, jak się samo przez się rozumie, jednostki potępienia godne; mogło więc społeczeństwo czuć pewną obawę zdawania losów ustawodawstwa w jego ręce; ale ta sama obawa nie była przecież w zasadzie wykluczoną i co do izby posłów. Z tego punktu widzenia nie należało sprawy rozstrzygać. Lepszą była zasada, nie tylko dzisiaj powszechnie

uznana, ale i w dawniejszej organizacyi sejmowej polskiej z dawna ustalona, że ciało prawodawcze powinno się składać z kilku czynników w równym stopniu uprawnionych, które nawzajem się kontrolując i równowagę między sobą utrzymując, mogłyby zapobiegać niedostatkom pospiesznej, niedojrzałej akcyi prawodawczej.

Był dawniej, obok senatu i posłów, trzecim takim czynnikiem prawodawczym król, który uchwała przez obie izby powziętej mógł się sprzeciwić, odmówić jej sankcyi. Praktycznie słaba władza królewska nie mogła wprawdzie z tego prawa najczęściej korzystać, ale była przynajmniej zasada, uznana jeszcze wyraźnie na sejmie z r. 1768, który w rzędzie praw kardynalnych na pierwszem miejscu zamieścił postanowienie, że moc prawodawcza w państwie przysługuje trzem stanom: królowi, senatowi i izbie poselskiej, i że jeden stan bez drugiego nic nie może stanowić. I tę zasadę obaliła Konstytucya Trzeciego Maja; królowi żadnego samoistnego stanowiska w sejmie nie dała, włączyła go do izby senatorskiej i przyznała mu tam tylko głos podwójny, mający rozstrzygać w razie równości zdań. Uczyniła go tylko prezydentem senatu i tak go też wyraźnie nazwała; prawo sankcyi mu odjęła, atrybucyj monarszych w zakresie ustawodawstwa go pozbawiła. Sejm składał się więc właściwie z dwu tylko elementów: senatu pod prezydencyą króla i izby poselskiej, co też z naciskiem w konstytucyi podniesiono. Że to nie była rzecz dobra, dowodzić nie potrzeba.

W całej tej reformie władzy ustawodawczej widnieje zatem bardzo dokładnie jedna myśl zasadnicza, która się przez nią jak nić czerwona przewija: dążność do supremacyi izby poselskiej, do stanowczego ograniczenia innych czynników sejmu. Skąd się ta dążność wzięła? Po części zapewne z nieufności do możnowładztwa i nieufności do króla. Ale były niewątpliwie przyczyny głębsze. Król był naczelnikiem państwa, teraz zwłaszcza, jako król dziedziczny, od narodu niezależnym: senat składał się z wyższych dostojników pań-

stwowych, mianowanych przez króla, zasiadających w sejmie z mocy urzędowego stanowiska; tylko izba poselska wychodziła z wyborów, ona była właściwą przedstawicielką woli i dążeń narodu. A w duszy tego narodu-szlachty z dawna już tkwiło głęboko wyryte przekonanie, że wszystko, co się w państwie dzieje, dziać się powinno z jego woli, i w czasach ostatnich znalazło ono gruntowne poparcie w teoryi genewskiego filozofa, który tę zasadę szczegółowo rozprowadził i wielki dla niej znalazł poklask w całej Europie. Z tem przeświadczeniem, na którego wzmocnienie niewątpliwie oddziałała silnie nauka Rousseau'a, musiano tedy całkiem konsekwentnie przenieść na izbę poselską punkt ciężkości organizacyi sejmowej. Wyraźnie stwierdza tę teoryę sama konstytucya: »Wszelka władza społeczności ludzkiej początek swój bierze z woli narodu«, mówi ona na jednem miejscu; a na innem: »Izba poselska, jako wyobrażenie i skład wszechwładztwa narodowego, będzie świątynią prawodawstwa«.

Podlega więc reforma sejmowa konstytucyi poważnym zarzutom. Ale to tylko jedna jej strona. Jest strona inna, lepsza, z lichwą wracająca to, co tamta spaczyła. Mniejszej wagi zasadniczej, choć nie bez praktycznej doniosłości, jest postanowienie, że sejm ma być zawsze gotowy, t. z. że posłowie wybrani na sejm ordynaryjny (co dwa lata odbywany) nie tracą swych funkcyj z ukończeniem tego sejmu, ale zatrzymują je na całe dwulecie; zaczem, gdyby się okazała potrzeba zwołania w międzyczasie sejmu (zwanego dawniej ekstraordynaryjnym), dla jakichś nadzwyczajnych, nagłych przyczyn, jak niebezpieczeństwa wojny, grożącego buntu, powszechnego głodu i t. p., nie potrzeba wybierać na ten sejm osobnych, nowych posłów i przez to szybkość działania opóźniać; posłowie dawniejsi sprawują w tym wypadku funkcye swoje nadal. Ważniejszem bez porównania jest postanowienie inne: że poseł uważany jest na sejmie jako reprezentant narodu całego, nie zaś tylko swojej ziemi, swojego sejmiku. Wobec tego ma on możność postępowania według

własnego zdania, nie krępuje go instrukcya sejmiku. Stosownie też do tego stanowi konstytucya, że co do »uchwał sejmowych« nie mają być wydawane żadne instrukcye; co do »praw ogólnych« instrukcyj takich dopuszcza, ale niewątpliwie w tem już tylko znaczeniu, że są to życzenia, wskazówki sejmikującej szlachty, nie zaś mandaty rozkazujące, jak przedtem. Przez to zmieniony został charakter całego sejmu; od początku aż dotąd był on właściwie kongresem pełnomocników poszczególnych ziem — teraz przekształcił się w właściwą reprezentacyę narodu jako takiego, stał się ciałem parlamentarnem w nowożytnem tego słowa znaczeniu, z tem oczywiście ciągle zastrzeżeniem, że reprezentacya jego składała się tylko z wysłanników szlachty. Ta zaś zmiana charakteru sejmu pociągnęła za sobą dalsze praktyczne następstwo: że *liberum veto,* opierając się ciągle jeszcze w teoryi na owej kongresowej naturze sejmów polskich, mogło być zniesione i zniesionem też zostało. A że główna racya prawna konfederacyj polegała na tem, iż stanowiąc większością, zastąpić mogą braki sejmowania polskiego, z zasady jednomyślności wynikające, przeto z usunięciem tej racyi usunięto i konfederacye same. Runęły dwa najsilniejsze filary nierządu polskiego; pracy ustawodawczej narodu otworzyło się pole prawidłowego działania. Aby tę pracę od zbyt pospiesznych, niedowarzonych eksperymentów uchronić i zapobiec zbyt częstej zmianie najważniejszych, zasadniczych ustaw państwa, jak tego aż nazbyt liczne przykłady wykazywała niedaleka przeszłość, postanowiono, że zmiana konstytucyi nie może być dokonaną pierwej, jak dopiero za lat 25, na osobnym ekstraordynaryjnym sejmie konstytucyjnym, w tym celu zwołanym. Nie ustalono więc raz na zawsze jakichś praw kardynalnych, nigdy nieodmiennych, w rodzaju tych, jakie stworzył sejm repninowski; rozumiejąc, że z biegiem czasu potrzeby narodu zmienić się mogą, dozwolono zmienić także i konstytucyę; chciano tylko, ażeby każda ustawa zasadnicza przeszła przez czas próby, ażeby naród miał możność prze-

konać się dokładnie, co w niej jest dobrego, co złego, a co jeszcze nieokreślonego, i ażeby ciągłe zmiany konstytucyjne nie wzruszały porządku i trwałości stosunków w państwie. Czy środek, którego się chwycono, a mianowicie ów ściśle określony termin dwudziestopięcioletni, był odpowiednim, o tem można rozprawiać, ale zasadzie samej przyznać trzeba słuszność.

Głęboko sięgające reformy przeprowadziła konstytucya w organizacyi rządu. Najdonioślejszą z nich było: zniesienie tronu obieralnego. Uznano tron, jako »elekcyjny przez familie«, t. z. jako dziedziczny w rodzinie aż do jej wygaśnięcia, poczem naród miał mieć dopiero prawo, »żadnej preskrypcyi podpadać nie mogące«, obrania sobie nowego domu panującego. Dziedziczność idzie w linii męskiej, według zasad primogenitury; ponieważ zaś powołany na następcę Stanisława Augusta elektor saski Fryderyk August nie miał potomstwa męskiego, przeto musiano zrobić wyjątek, uznając infantką córkę jego Maryę Augustę Nepomucenę i stanowiąc zarazem, że mąż jej, którego otrzyma za wolą ojca i zgodą stanów polskich, rozpoczynać ma nową dynastyą. Można się spierać o to, czy ówczesna konstelacya polityczna sprzyjała wprowadzeniu dziedziczności w Polsce, i czy sposób, w jaki ją wprowadzono, był odpowiednim; ale co do zasady samej, nie ma chyba żadnej wątpliwości. Reforma ta usuwała bezlik klęsk zewnętrznych i wewnętrznych, a nadto wzmacniała znakomicie stanowisko króla jako naczelnego kierownika rządu. W pierwszym rzędzie wynikało z niej, że król musi być nieodpowiedzialnym, gdyż odpowiedzialność monarchy, polegająca na możności usunięcia go z tronu, nie zgadza się z pojęciem dziedziczności. Ustanowiono wprawdzie, że z elektorem saskim mają być ułożone *pacta conventa*, ale sankcyą ich dotrzymania miała być przysięga króla, nie zaś upoważnienie poddanych do wypowiedzenia posłuszeństwa. Ta »święta i bezpieczna od wszystkiego« osoba królewska, na dziedzicznem swojem prawie oparta, musiała oczywiście zająć zgoła inne stanowisko w rządzie,

aniżeli dawniejszy, z wyboru narodu za kontraktem osadzony na tronie król, z tronu tego w razie przekroczenia swych obowiązków usuwalny. Jakoż w istocie, konstytucya wynagradzając to, co mu odjęła w zakresie ustawodawstwa, nadaje królowi tak silne i przeważne w rządzie naczelnym stanowisko, jakiego od wielu wieków nie miał w Polsce. Daje mu prawo nominacyi biskupów, senatorów, ministrów i wszystkich urzędów wykonawczych, o ile te urzędy nie są obieralne, prawo nominacyi niczem i przez nikogo nie krępowane i znosi przez to ograniczenia, jakie niedawno włożono na niego, organizując Radę Nieustającą. Daje mu prawo najwyższego dowództwa w wojsku i mianowania w niem komendantów, tudzież wszelkich oficerów, a przez to ogranicza samowładzę hetmanów w czasie wojny. Daje mu prawo ułaskawienia skazanych za zbrodnie, z wyjątkiem skazanych za zbrodnie stanu, i przez to opatruje go atrybucyą monarszą wielkiej doniosłości. Pod jego imieniem mają iść wszystkie akta publiczne, działać sądy i magistraty. Bardzo daleko wreszcie sięga znaczenie króla w ustanowionej teraz najwyższej władzy wykonawczej, nazwanej straż praw.

Straż skupia w swem ręku wszystkie nici administracyi całego państwa, zakres jej działania rozciąga się zarówno na Koronę, jak i na Litwę. Szczęśliwa myśl, przeprowadzona już raz poprzednio w organizacyi Rady Nieustającej, tworząca rząd centralny państwowy, usuwająca dawniejszą jego dwoistość, dopełniająca ostatecznie dzieło Unii lubelskiej, została tedy utrzymaną nadal. Składa się straż, prócz króla: z prymasa, którego zastąpić może pierwszy z porządku biskup, z pięciu ministrów, t. j. ministra policyi (marszałka), ministra pieczęci (kanclerza lub podkanclerzego), ministra wojny (hetmana), ministra skarbu (podskarbiego) i ministra pieczęci do spraw zagranicznych (kanclerza lub podkanclerzego), powołanych do straży z liczby szesnastu ministrów, fungujących w poszczególnych działach administracyi państwowej. Prymas i pięciu ministrów mają w straży

głos stanowczy; bez takiego głosu zasiadają w niej nadto: marszałek sejmowy z zakresem władzy, który poniżej wyjaśnimy, następca tronu po dojściu do pełnoletności (18 lat) dla obznajomienia się i nabrania wprawy w sprawach rządu, i dwaj sekretarze. Jest tedy straż rodzajem rady ministrów w rozumieniu dzisiejszem, organem bez porównania mniej skomplikowanym, aniżeli dawniejsza Rada Nieustająca, przedewszystkiem nie tak licznym, jak ona, a więc i nie tak ociężałym i powolnym, zdolnym do szybszej i sprężystej akcyi. Wybór wszystkich jej członków, z wyjątkiem tych, którzy głosu stanowczego nie mają, zależy od króla; prymas zasiada w niej wprawdzie z mocy urzędu swego, ale nominacya prymasa jest rzeczą panującego; ministrowie w straży powoływani są na to stanowisko również przez króla z grona wszystkich ministrów, w zasadzie na dwa lata, z możnością jednak zatwierdzenia ich na dalszy przeciąg czasu. Cały rząd najwyższy składa tedy król bez jakiejkolwiek ingerencyi innych czynników, a zwłaszcza sejmu; i tu więc zachodzi zasadnicza różnica pomiędzy organizacyą straży a organizacyą Rady Nieustającej, która nie była niczem innem, jak tylko wydziałem sejmu, z wyborów jego w całości wychodzącym. Atrybucya *par excellence* monarsza złożenia najwyższej władzy wykonawczej według swego uznania, niedawno przedtem zniesiona, została tedy królowi przywrócona napowrót. Przepis, że nominacya do Straży ma skutek w zasadzie tylko na dwa lata, dawał królowi możność pozbycia się w krótkim czasie sił, któreby nie odpowiedziały swojemu zadaniu; z drugiej zaś strony przyznane mu prawo zatwierdzenia nominacyi na czas dalszy, umożliwiało zatrzymanie talentów wybitniejszych, pracowników wytrawnych, a zarazem utrzymania w tym najwyższym organie rządu pewnej ciągłości działania i tradycyi zasad rządowych. I w tym więc względzie jest tu krok ku lepszemu w porównaniu z tem, co było w Radzie Nieustającej; tam bowiem z przepisu prawa przynajmniej dwie trzecie części Rady co dwa lata odmieniać

się musiały. Najważniejszą wszelako innowacyą jest przepis o stanowisku króla w straży. Straż nad sprawami rządu obraduje i przez głosowanie je rozstrzyga, ale nigdy w tem znaczeniu, iżby uchwała jej wiązać mogła króla; król może pójść za zdaniem całości lub większości, ale też może wybrać zdanie mniejszości, lub nawet takie, za którem nikt się w straży nie oświadczył; jego wola jest tutaj ostatecznie rozstrzygającą. Nie ma więc pomiędzy nim a strażą stosunku koordynacyi; straż jest władzą podporządkowaną królowi. W Radzie Nieustającej był on tylko prezydentem, stojącym na równi z innymi jej członkami, obowiązanym ściśle do wykonywania jej uchwał, a wyróżnionym tylko przez nadanie mu dwu kresek; tutaj przywrócone mu zostało napowrót stanowisko monarsze. Zorganizowano tedy cały rząd najwyższy na zasadzie nowożytnej, w ręce króla oddano prawo każdorazowego składania go i zmiany, a zarazem podporządkowano go pod jego naczelne kierownictwo.

Ale ten rząd, a zwłaszcza król, tak obszerną wyposażony władzą, mógł znaleść sposobność nadużycia jej, działania na szkodę państwa i narodu, naruszenia obowiązujących ustaw. Ta możliwość wskazuje wszędzie na potrzebę nałożenia rządowi odpowiednich ograniczeń, które nie krępując jego swobody ruchu, dawałyby przecież rękojmię, że nic w nim się nie stanie przeciw prawu. Bardziej jeszcze, niż gdzieindziej, nie można było przepomnieć o tem w Polsce, gdzie możność wykonywania *absoluti dominii* budziła zawsze wielkie obawy w społeczeństwie. Postawiono więc pewne szranki władzy królewskiej, ale przyznać trzeba, postawiono je bardzo rozumnie. Przepisano, że każda rezolucya ze straży, z podpisem ręki królewskiej wychodząca, ma mieć moc obowiązującą w takim tylko razie, jeżeli będzie kontrasygnowaną przez jednego z pięciu ministrów w straży zasiadających. Co do ministrów zaś wydano przepis, że są odpowiedzialni przed sejmem. Sejm z powodu czynności urzędowych może ich prostą większością głosów obu izb

złączonych postawić w stan oskarżenia, które ostatecznie załatwia sąd sejmowy. Ta odpowiedzialność ministrów i kontrasygnata ich na rezolucyach straży była dostateczną rękojmią, że rząd praw naruszać nie będzie; z drugiej jednak strony nie dawała im zbytniej a nieuzasadnionej przewagi nad królem, gdyż król opornego ministra mógł usunąć ze straży po upływie dwulecia. Prawda, że byłoby lepiej, gdyby konstytucya była nadała prawo dymisyonowania ministrów każdej chwili, zawsze bowiem jeszcze minister, w złej wierze działający, mógł wstrzymać do czasu akcyę rządu.

Mniej fortunnem było natomiast inne postanowienie, że sejm, prócz prawa oskarżenia ministra, ma możność, bez żadnego wyrażonego powodu, uchwalić większością dwu trzecich części wotów sekretnych usunięcie go z urzędu, której to uchwale król poddać się musi. Interes przestrzegania praw w rządzie był już dostatecznie zabezpieczony odpowiedzialnością ministrów, to zaś prawo nadawało sejmowi pewną przewagę nad nimi, krępowało ich swobodę ruchu i działania. Ale bez racyi nie było przecież to postanowienie. Była to w niedoskonałej tylko formie przeprowadzona zasada, która dzisiaj powszechne ma uznanie, że kierunek rządowy powinien zgadzać się z programem większości parlamentarnej, i że z chwilą, w której pomiędzy jednym a drugim powstanie rozbrat, reprezentanci dawniejszego kierunku rządowego, choćby nawet władzy swej w niczem nie nadużyli, ustąpić powinni.

Prócz prymasa i ministrów przyznano jeszcze miejsce w straży, jak już wspomnieliśmy, marszałkowi sejmowemu. W rządzie samym marszałek udziału nie brał; jedyną funkcyą, jaką mógł spełniać, było zwołanie sejmu gotowego w razie jakiegoś nagłego niebezpieczeństwa ojczyzny lub sporu pomiędzy królem a ministrami o kontrasygnatę, jeżeliby sam król sejmu takiego zwołać nie chciał. Nie miał więc marszałek kontroli nad zwykłemi czynnościami rządu, miał tylko daną możność zastąpienia króla, i to nawet wbrew jego woli, w zwo-

łaniu sejmu. Było to do pewnego stopnia osłabienie powagi królewskiej, wyraz owej dawnej, w krew narodu wsiąkłej nieufności do panujących, ale nie można zaprzeczyć, że przepis sam miał logiczną racyę w sobie. Mogły się zdarzyć wypadki, gdzie król z narażeniem dobra państwa byłby zwłóczył z zwołaniem sejmu, i nie było środka, któryby go mógł do takiego zwołania skłonić, był bowiem nieodpowiedzialnym wbec narodu, a uchwała straży, odpowiedzialnej przed sejmem, choćby jednomyślnie powzięta, nie wiązała go bynajmniej. Miał więc marszałek w tym wypadku sposobność stanąć na straży interesu publicznego, dokonać rzeczy, której z pogwałceniem tego interesu nie chce dokonać naczelny zwierzchnik rządu. W dzisiejszym ustroju państw nie przypuszcza się tej możliwości; pokłada się zaufanie w monarsze, że rządzić będzie konstytucyjnie, i nie ogranicza się go taką zasadą, jaką wprowadzono w konstytucyi; ale nie zapominajmy, że się to działo w Polsce, gdzie przez długie wieki przedtem stosunek poddanych do panującego stał na gruncie nieufności. Resztką tej nieufności jest zasada niniejsza. Na pochwałę konstytucyi trzeba jednak powiedzieć, że ta ingerencya marszałka w prawa monarsze została ograniczona do najściślejszych granic — że nie przyznano mu prawa, choć to był reprezentant sejmu, a zatem narodu całego, kwestyonować jakichkolwiek czynności rządu, choćby je nawet uważał za sprzeczne z obowiązującemi prawami, za szkodliwe dla państwa.

Ogółem biorąc, trzeba tedy powiedzieć, że stworzono w Polsce rząd silny, sprężysty, i — na co nacisk trzeba położyć — parlamentarny w nowożytnem tego słowa znaczeniu. Były jeszcze pewne usterki w jego organizacyi, ale zasady przewodnie, na których ją oparto, były najlepsze; opierając się na nich, można było z biegiem czasu usunąć, co w tej organizacyi było jeszcze złego, uzupełnić, czego jej jeszcze nie dostawało. Tak więc już z ogólnego stanowiska trzeba przyznać tej reformie rządowej niepospolitą doniosłość.

Większego jeszcze znaczenia nabiera ona, jeżeli ją ocenimy na tle stosunków polskich. Chroniczny defekt Rzeczypospolitej, na który od tak dawna utykała, brak rządu, został stanowczo usunięty. Został usunięty lepiej, niż w próbach dawniejszych, w organizacyi komisyj wielkich, w urządzaniu Rady Nieustającej. Pokazało się, że próby dawniejsze nie pozostały bez pożytku, że z doświadczenia, jakie na nich zrobiono, umiano skorzystać. Środkiem, który tę reformę ułatwił i jej dokonanie umożliwił, stało się przyjęcie wyrabiającej się na zachodzie formy parlamentarnego rządu. Zdawna pomiędzy obu najwyższemi czynnikami organizmu politycznego Polski, sejmem a rządem, istniał antagonizm i niedowierzanie; ten antagonizm paraliżował siłę i energię rządu, lub nawet sprowadzał ją do zera. Zasada rządu parlamentarnego była tym szczęśliwym wynalazkiem, który przyczynę wzajemnej nieufności usunął, dał sejmowi gwarancyę przestrzegania praw przez rząd, a mimo to nie przeszkadzał silnej, spoistej budowie rządu samego.

Pewnem wypaczeniem myśli, w organizacyi najwyższych władz rządowych przeprowadzonej, było określenie stosunku straży do innych władz wykonawczych niższego rzędu. Komisye wielkie, poprzednio istniejące, jako to skarbową i edukacyjną, zatrzymano; zatrzymano także, niedawno, po zniesieniu departamentu wojskowego Rady Nieustającej wskrzeszoną (już na sejmie czteroletnim, 11 listopada 1788 r.) komisyę wojskową; przydano do nich nadto jeszcze osobną komisyę policyi. W zasadzie instytucya komisyj wielkich, po zorganizowaniu straży, była zbędną. W swoim czasie, kiedy je po raz pierwszy w r. 1764 ustanowiono, inną była myśl zasadnicza, na której ich potrzebę i racyę bytu oparto; miały to być n a j w y ż s z e władze wykonawcze, skupiające w swem ręku cały dawniejszy zakres działania podskarbich i hetmanów. Teraz wobec straży komisye zajęły p o d r z ę d n e stanowisko, jak je zajmowały już dawniej wobec Rady Nieustającej. Z tą tradycyą niegdyś najwyższej, a obecnie pod-

rzędnej władzy, były komisye rzeczą do pewnego stopnia niebezpieczną w ustroju rządowym polskim, mogły się stać powodem zawikłań i kolizyj kompetencyjnych, tem bardziej, że na czele ich stali ministrowie, koledzy ministrów zasiadających w straży, stanowiskiem swojem hierarchicznem zgoła im równi, a więc z natury rzeczy mniej skłonni do poddawania się decyzyom straży. Określono wprawdzie, że zarówno komisye wielkie, jako też komisye porządkowe wojewódzkie, mają podlegać straży, i rozkazy jej, bezpośrednio czy pośrednio wydawane, spełniać; ale rękojmia tej subordynacyi urzędowej była bardzo słaba. Komisye wielkie wychodziły bowiem z wyborów sejmowych, komisye wojewódzkie z wyborów sejmikowych — zatem też członkowie ich mogli być tylko przez sejm lub sejmiki usuwani; nadto były one odpowiedzialne i do zdawania sprawy zobowiązane wobec sejmów i sejmików. Otóż ta odpowiedzialność wobec reprezentacyi państwa czy ziemi, a z drugiej strony podległość naczelnej władzy rządowej, stanowiły do pewnego stopnia sprzeczność, a w każdym razie nie dawały rękojmi, że straż w komisyach znajdzie posłuszne i niezawodne narzędzie w przeprowadzeniu wychodzących od niej zarządzeń.

Wprowadzenie dziedziczności tronu wywołało potrzebę określenia dwu jeszcze pytań: w jaki sposób ma być wykonywany rząd w razie jakiejś trwałej przeszkody po stronie panującego — a następnie, w jaki sposób ma być prowadzone wychowanie dzieci królewskich. Artykuł o edukacyi tychże dzieci (X), ma podrzędniejsze znaczenie. Stanowi on, że kierownictwo wychowania przysługuje królowi wraz ze strażą, tudzież osobnemu, przez sejm wyznaczonemu dozorcy edukacyi królewiczów, w razie zaś, gdyby król zmarł, wykonywuje te same prawa rejencya wraz z rzeczonym dozorcą. Instrukcyę co do edukacyi dzieci królewskich wypracować ma komisya edukacyjna, dozorca zaś obowiązany jest z postępu królewiczów zdawać sprawę na każdym sejmie ordynaryjnym.

Ważniejsze są przepisy o rejencyi (art. IX). Ma ona

miejsce w razie małoletności króla, t. j. do 18 roku życia, w razie trwałego pomięszania zmysłów, które musi być przez sejm gotowy większością trzech czwartych części głosów obu izb złączonych uznane, tudzież w razie wzięcia króla w niewolę nieprzyjacielską. Rząd w tym wypadku wykonuje straż, mając na czele królowę, lub w jej nieobecności prymasa. Sejm gotowy, który w razie zajścia jednej z takich przeszkód ma być natychmiast zwołany przez prymasa, a gdyby ten zwłóczył, przez marszałka w straży zasiadającego, urządza kolej zasiadania ministrów w rejencyi i umocowuje królowę do zastępstwa króla. Po ustaniu przeszkód rejencya obowiązaną jest zdać sprawę z swoich czynności i może być za nie pociągniętą do odpowiedzialności przed sejmem.

Oto, czego dokonała Konstytucya Trzeciego Maja. Rozważając ją w szczegółach, powiedzieć trzeba, że dokonała wszystkiego lepiej, niż to zdołano uczynić dawniej, w okresie reform, poczętym r. 1764. Była więc pod każdym względem znacznym krokiem naprzód, wielkim postępem nie tylko w stosunku do tego, co u nas istniało w epoce upadku, ale i w stosunku do wszystkich reform, jakie przed nią celem naprawy Rzeczypospolitej przedsięwzięto. Była więc pośród tych reform największą, najdalej sięgającą. Ale to tylko względna jej wartość, o istotnem znaczeniu konstytucyi nie dająca wyobrażenia. Znaczenie jej istotne poznamy dopiero, jeżeli rozważymy całość dokonanych w niej reform i wzajemny ich pomiędzy sobą związek. A wtedy dostrzeżemy, że jest reformą gruntowną i powszechną, *in capite et in membris*, przetworzeniem całego ustroju Rzeczypospolitej. Dawniejsze ograniczały się przeważnie do organizacyi rządowej, a były zawsze tylko częściowe, zatem niedostateczne; ta przekształciła wszystkie najważniejsze elementy politycznego i społecznego życia narodu. Dawniejsze poruszały się

więcej na powierzchni, zarodków złego nie dotykając, a przez to nie miały też warunków trwałego bytu; ta sięgnęła w głąb rzeczy, nie tylko władz rządowych i ustawodawczych dokonała naprawy, ale naprawiła wszystko, co się dało, w układzie społecznym, którego nieprawidłowa formacya była źródłem i początkiem wszystkiego złego. W tem rozumieniu reforma ta jest pierwszą, nie ma żadnych poprzedniczek z czasów sobie bliższych. Dokonała od razu wszystkiego, czego przedtem nawet z osobna nie odważono się przeprowadzić: uprawniła stany niższe, uchyliła *liberum veto* i konfederacye, zniosła elekcyjność tronu, odpowiedzialność króla i niemoc rządu; usunęła wszystko, na co Polska od kilku wieków chorowała i umierała, stworzyła jej warunki dalszego bytu. Była wielkiem odrodzeniem narodu, społecznym i politycznym przełomem, od którego począwszy, nowe miał rozpocząć życie. Była jedną z tych chwil, na które Bóg wieki każe czekać narodom, o których potem wieki pamiętać muszą.

Nie była wolną od błędów i usterek. Była dziełem ludzkiem, a więc dziełem niedoskonałem. Ale doskonałą sama być nie chciała. W kilku sprawach, jak np. w sprawie mieszczańskiej lub chłopskiej, niedwuznacznie zaznaczyła, że to, co wprowadza, nie jest najlepszem, że jest możliwe lepsze jeszcze załatwienie rzeczy. Wolała jednak obrać drogę pośrednią, gdyż skrajna byłaby jej z pod nóg grunt usunęła. Każde społeczeństwo może mieć tylko taką konstytucyą, do jakiej dojrzało; jeżeli ona miarę jego dojrzałości przechodzi, podepta ją i zniszczy; wszystkie klauzule prawne, zapewniające jej wykonanie, nie wystarczą, bo gwarancya konstytucyi leży w społeczeństwie samem. Musiała więc i ta konstytucya zastosować się do warunków, wśród których powstała. Ale przez to, choć nie była doskonałą, była właśnie najlepszą, bo nie ta konstytucya jest dobrą, która piękne zasady wypisuje, ale ta, która wypisanym zabezpiecza wykonanie. Przejęła więc w siebie szereg dawniejszych zasad, na których opierał się ustrój Polski, a nawet jeżeli je prze-

kształcała i zmieniała, to w duchu narodowym; z urządzeń zachodnich, Polsce nieznanych, choć może w niejednem lepszych, czerpała wprawdzie, ale ostrożnie, i znowu je do stosunków polskich odpowiednio naginała. Nie zamknęła więc oczu na to, co sobie ludzkość zdobyła, ale nie zapomniała i o tem, że każdy naród ma swoje właściwości i osobne potrzeby, odmienną koleją dziejów wytworzone. Nie była więc ślepem, niewolniczem naśladowaniem obcych wzorów; była reformą wielką, ale na gruncie narodowym. Była zatem — i jest — czemś samorodnem, czemś, co z nas samych powstało, za co, jeżeli to złe, odpowiadamy my sami, a jeżeli to dobre, to nasza w tem zasługa i chluba. Była czemś, co do narodu przemówić i w sercach jego oddźwięk znaleść mogło. Z taką kartą konstytucyjną mógł ten naród śmiało ruszyć dalej w pochód dziejowy.

Czy mógł w istocie? Czy byłby z nią wytrwał? Czy nie byłby jej porzucił, jak porzucał wiele ustaw dawniejszych? Czyż w rok potem nie przyszła Targowica, przez naród sam przeciw konstytucyi zawiązana? Przyszła, zapewne, ale jak przyszła! Przyszła pod naciskiem obcych bagnetów, za inicyatywą kilku wsteczników; pociągnęła za sobą tych, nie wielu stosunkowo, co świadomie nowego porządku rzeczy uznać nie chcieli, a następnie całe masy tłumu ciemnego, zapewne jeszcze dawnemi przesądami przesiąkłego, a stąd konstytucyi niechętnego. Ale ten tłum, który wprawiony w ruch, jest wielką siłą i potęgą — fizyczną, bywa w normalnych warunkach żywiołem biernym, łatwo podatnym. Ten tłum, gdyby w Polsce był się utrzymał pokój, byłby się łatwo pogodził z konstytucyą, a po upływie pewnego czasu byłby się z nią zżył niewątpliwie. Odliczmy tłum — cóż zostanie przy Targowicy? Mała stosunkowo garstka przywódców i pewna suma ludzi słabego charakteru, którzy wbrew przekonaniu, pod grozą niebezpieczeństwa osobistego, do niej przystąpili. Ale większość tej warstwy narodu, która duchem stała wyżej, która życiu publicznemu nadawała kierunek i według której

przedewszystkiem wartość jego oceniać należy, była po stronie przeciwnej, za konstytucyą. Wszak na sejmie ledwo kilkunastu posłów sprzeciwiało się ustawie rządowej; wszyscy inni przyjęli ją z zapałem. Popatrzmy zresztą na tło dziejowe, wśród którego występuje konstytucya. Oto widzimy za Stanisława Augusta prąd, idący w coraz szersze warstwy, polepszenia doli chłopa, przez dobrowolne z nim umowy; widzimy podnoszenie się miast, przemysłu i handlu, widzimy ulepszoną edukacyę, bogatą literaturę, widzimy cały szereg usiłowań o naprawę Rzeczypospolitej. Widzimy wszechstronne, coraz dalej sięgające odrodzenie. Widzimy, że społeczeństwo na tej pochyłości, na której znajdowało się przedtem, stanęło i zawróciło się na inną drogę: a ta droga nie prowadziła do Targowicy; to była ta sama droga, którą jasno określiła Konstytucya. Jakież więc dla oceny naszego pytania ma znaczenie Targowica? Żadnego. Siły życiowej organizmu, wycieńczonego długą chorobą, a przychodzącego zaledwie do zdrowia, nie mierzy się gwałtownemi wstrząśnieniami, bo te zabić muszą; niechby jednak tych wstrząśnień nie było, siła życiowa zrobi swoje: da zdrowie zupełne. A kto tego wstrząśnienia przyczyną był ostateczną? Czy sama Targowica byłaby przyszła do skutku i czy byłaby zdołała pociągnąć za sobą masy — bez obcej pomocy? A czy nawet po niej nie zbudził się jeszcze do obrony ojczyzny i k o n s t y t u c y i — naród, i jego bohaterski naczelnik, autor połanieckiego uniwersału? Że uległ, to już było rzeczą przewagi oręża nieprzyjacielskiego; ale oręż ten w tym właśnie wypadku nie był — ramieniem sprawiedliwości.

Upadła więc Konstytucya. Odrodzenie społeczne i polityczne, którego była wyrazem, nie przybrało tych form zewnętrznych, jakie mu w niej zadekretowano. Niemniej przeto przyniosła korzyść najdonioślejszą. Była bowiem i odrodzeniem moralnem narodu. Była pogrzebaniem szkodliwych, ale przez długi czas najdroższych narodowi, wiekową przeszłością wypieszczonych ideałów złotej wolności i wyłączności

szlacheckiej. A dokonała się nie przez kogo innego, tylko przez tych, co te ideały sami nosili w swem sercu. Przyszła do skutku nie przez siłę i przemoc dobijających się o swe prawa klas upośledzonych, nie przez nacisk ze strony rządu, dążącego do wzmocnienia swej władzy, nawet nie za wolą lub poparciem jakiejkolwiek potencyi obcej, a owszem przeciwko ich woli; zrodziła się bez rewolucyi, bez kropli krwi rozlewu, w formie łagodnego zamachu stanu, z własnej, niczem niekrępowanej woli narodu samego. W swoim rodzaju jest to wypadek jedyny i nigdzie na tak wielki rozmiar w dziejach ludzkości nie powtarzający się: ten dobrowolny nawrót z drogi, która była niebezpieczną, to prawda, ale tak wygodną dla nawracających. Musiał ten naród mieć wiele siły i hartu w sobie, niestartych całkiem i niespożytych dawniejszym upadkiem, kiedy dzieła takiego dokonać potrafił. Na ciemnym horyzoncie dziejów swoich zapalił od razu słońce, tak jasne, że rozproszyło mrok przeszłości, tak silne, że nam świeci teraz jeszcze i długo świecić będzie, otuchę w serca wlewając i ducha krzepiąc.

Czem bylibyśmy dzisiaj bez tej konstytucyi, trudno pomyśleć bez zgrozy; a czem przez nią jesteśmy, dosyć ocenić nie można. Gdybyśmy byli upadli w czasach saskich, bylibyśmy tem ciałem martwem, które pogrzebać koniecznie należało, bo przeszło całe zgnilizną i zepsuciem. Gdybyśmy byli upadli po pierwszych reformach za Stanisława Augusta, powiedzianoby, że zginął organizm, który po strasznem zdrętwieniu zaczął drgać, niewiadomo czy do nowego życia, czy w ostatnich tylko śmiertelnych podrywach. Ale po tej konstytucyi?!... Ona to wykazała, że rok 1795 przyszedł o cztery lata za późno...


AUG
29
1968